

szturm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 34/2017 (07) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

MZR

Szturm – miesięcznik narodowo-radykalny nr 34/2017 (07)

[Michał Walkowski – „Odezwa do nacjonalisty”](#)

[Paweł Bielawski – „Islam, kapitalizm a przyszłość Europy”](#)

[Adam Busse – „O mirażach wokół wizyty Donalda Trumpa w Polsce”](#)

[Grzegorz Ćwik – „M. Gniadek-Zieliński, Narodowe Siły Zbrojne 1942-1947 – recenzja”](#)

[Miłosz Jeziński – „Wywiad z Tors Vrede”](#)

[Marta Niemczyk – „Wędrownie Ptaki” – powrót do natury ruchu Wandervogel”](#)

[Tomasz Kosiński – „Bernhard \(Paul\) Strasser – trzeci z braci Strasser”](#)

[Marek Kubiński – „Festiwal Orle Gniazdo 2017 – relacja i refleksje”](#)

[Patryk Płokita – „Mentalność neo-folwarczna”](#)

[Jakub Siemiątkowski – „Czy odrzucać dialog z Ukraińcami?”](#)

[Kacper Sikora – „Powtórka z dwudziestolecia międzywojennego? Czy grozi nam wojna domowa?”](#)

[Paweł Doliński – „Lęk przed Trzecią Droga”](#)

[Karolina Ebertowska – „Czym grozi sprzeciwianie się Putinowi, czyli o tym co spotkało członków BARS”](#)

[Adrian Grudziński – „Zapomniany patriota Jan Korolec i jego działalność publicystyczna”](#)

[Karol Oknab – „Wola, wspólnota i suweren”](#)

[Sebastian Stelmach – „Prezes jest obrońcą prawa”](#)

[Patryk Łukasz – „Czy Polak może być konserwatystą?”](#)

Michał Walkowski – „Odezwa do nacjonalisty”



Nacjonalisto!

Ów apel kieruję do Ciebie z co najmniej kilku powodów. Choć jestem stosunkowo młodym reprezentantem naszego środowiska, to chciałbym podzielić się z Tobą paroma spostrzeżeniami, które – jak miemam – dzielę nawet ze starszymi stażem lub wiekiem członkami naszej społeczności. Te uwagi i komentarze dotyczą stanu, w którym znajduje się w chwili obecnej ideologia, którą wspólnie reprezentujemy oraz my sami. Sytuacja może i nie jest tragiczna, ale można niekiedy odnieść wrażenie, że albo stoi ona w miejscu, albo się pogarsza. Pewny jest fakt, iż nasi polityczni wrogowie powoli zaczynają się coraz lepiej organizować oraz biorą czynny udział w życiu społecznym naszego narodu. Nim jednak przejdę do opisu naszej bieżącej sytuacji chciałbym zasygnalizować, jak rozumiem pewną podstawową dla tej sprawy kwestię. Mowa o tym, czym jest dla mnie nacjonalizm. Ponadto – w kolejnym kroku – należałoby zwrócić uwagę na to, jakie mogą być niektóre z interpretacji naszej ideologii, co się z nimi wiąże i

dlaczego część z nich jest godna odrzucenia. Nie będzie to – rzecz jasna – artykuł naukowy, w którym dokonam ścisłej analizy, ale pokrótce postaram się opisać, scharakteryzować główne wizje nacjonalizmu oraz odnieść się do nich wartościując je. Chciałbym mimo wszystko uniknąć opinii, jakobym rościł sobie prawa do nadawania miana nacjonalisty. Nie tędy droga. Nie tylko nie mam ku temu kompetencji, ale i nie każda odrzucona przeze mnie interpretacja nacjonalizmu musi być rzeczywiście błędna. Nie jestem przecież nieomylny. Dalej postaram się opisać główne problemy, które dostrzegam wśród polskich nacjonalistów. Kolejnym etapem będzie próba postawienia fundamentalnych pytań związanych z punktem poprzednim. Natomiast na koniec zaproponuję możliwe kierunki zmian, które najpewniej będą na dość sporym poziomie ogólności. Zdaję sobie sprawę, iż ów tekst nie będzie lekarstwem na wszelkie bolączki ideologii nacjonalistycznej oraz jej reprezentantów w Polsce, ale mam nadzieję, że korzystając z zebranej przeze mnie bazy artykułów współczesnych, polskich i „naszych” publicystów uda mi się dokonać syntezy, która trafi do możliwie szerokiego grona reprezentantów polskiego obozu narodowego. Nie sądzę, żeby zachodziła konieczność krycia wspomnianych tutaj treści przed „profanami” (osobami spoza naszego środowiska). W końcu cenimy sobie prawdę, a zamykanie się na jej rozpowszechnianie można uznać za obłudę.

W moim rozumieniu nacjonalizmu jest on postawą życia, która ukierunkowuje nasze starania ku działaniu na możliwie największą korzyść narodu, do którego się przynależy. Niektóre teorie etyczne (np. te oparte na stadiach rozwoju moralności Kohlberga) za najbardziej pożądane zachowania uznają te, które są ukierunkowane ku powszechnemu (uniwersalistycznemu) stosowaniu się do zasad etycznych – bez względu na prawo stanowione w danym państwie, czy bez względu na podziały etniczne. Wydaje się, że taka postawa nie godzi się do przyjęcia przez nacjonalistę, który zna teorię porządku miłości (niekoniecznie w wydaniu chrześcijańskim, bo owa zasada nie funkcjonuje jedynie w

chrześcijaństwie) oraz uznaje naturalny podział świata na narody. Naród w rozumieniu nacjonalizmu jest ponadto najwyższą możliwą formą zorganizowania danego społeczeństwa, w którego skład wchodzi pokolenia przyszłe, teraźniejsze i przeszłe. Nie jest on więc wyłącznie bytem materialnym, ale i duchowym. Można się spierać nad jego charakterem, warunkami zaistnienia, ale tożsamości narodowej jako takiej nie sposób skutecznie i całkowicie zakwestionować. Rzecz jasna wielu filozofów oraz wrogich nam ideologów próbuje dokonywać tej negacji i – co więcej – wielu wierzy w ich zręczne sofizmaty. Nie chciałbym jednak w tym momencie wdawać się z nimi w dyskusję, ponieważ to zagadnienie chciałbym poruszyć w przyszłości w ramach rozważań „metanacjonalistycznych”. Wspomnę jedynie, że podobnie jak nie ma w chwili obecnej całościowego uzasadnienia na rzecz tożsamości oraz identyczności osobowej człowieka, który trwa w czasie, tak i dzieje się z każdą tożsamością zbiorową. Każda nauka, a tym bardziej ideologia ma pewien zestaw założeń, których nie sposób dowieść. Z całą pewnością jednym z takich fundamentalnych reguł dla nacjonalizmu jest istnienie tożsamości zbiorowej i – bardziej wąsko – narodowej. Wracając do rozumienia ideologii nacjonalistycznej, którą będę się tutaj posługiwał – pragnę zauważyć, iż jest ono dość szerokie. Daje więc wiele możliwości do interpretacji oraz obejmuje wiele rodzajów nacjonalizmu. Warto także dodać, że porządek miłości, o którym już wspominałem, nie wpływa na konieczność zaistnienia szowinizmu w postawie nacjonalisty. Przeciwnie – po najintensywniejszym uczuciu, którym nacjonalista otacza swój naród, powinien on przynajmniej szanować narody mu bratnie oraz nie wykluczać z grona tych neutralnych li tylko na podstawie zgorszenia. Należałoby w tym momencie przejść do wymienienia przynajmniej części doktryn nacjonalistycznych z obrębu naszego kraju. Zaznaczyć trzeba, że będą to „wydania” nacjonalizmu reprezentowane przez konkretne współczesne kręgi nacjonalistów.

Pozwolę sobie zacząć od dwóch stosunkowo bliskich mi stowarzyszeń, z którymi dotychczas miałem największą styczność, a do jednego z nich wciąż w pewnym zakresie przynależę. Mowa o Młodzieży Wszechpolskiej i Obozie Narodowo-Radykalnym. Cóż można rzec o obu tych organizacjach w jednym punkcie oraz dlaczego zdecydowałem się na przedstawienie ich właśnie wspólnie? Przed wyjaśnieniem zaznaczę tylko, że bazuję głównie na doświadczeniach własnych, więc – jak zapewne się domyślasz lub wiesz – na tych wyniesionych z MW. Przede wszystkim obie cechuje wewnętrzny pluralizm. Oznacza to, że członkowie zgadzają się w kluczowych dla nich kwestiach (mniemam, że np. w rozumieniu nacjonalizmu), ale odnośnie pozostałych często się nie zgadzają, dzięki czemu w obrębie tych organizacji człowiek jest w stanie wiele się nauczyć. Ten pluralizm rzecz jasna bywa ograniczany lub przynajmniej zachodzi jedynie w pewnym zakresie, ale mimo wszystko fakt wewnętrznej debaty (i to owocnej) nie funkcjonuje we wszystkich środowiskach narodowych. Drugą z cech wspólnych MW i ONR jest na pewno uporządkowana hierarchicznie struktura oraz związana z nią dyscyplina. Oznacza to, iż za obie te organizacje odpowiadają pewne władze, którym należy się częściowo lub niekiedy całościowo podporządkować. Faktu tego nie należy porównywać do rygoru wojskowego. Dyscyplina tych organizacji bywa w różnym stopniu efektywna, ale na pewno owa struktura może nauczać odnajdywania się w warunkach życia codziennego, gdzie każdy z nas obejmuje role zarówno przywódcze, jak i te, w których musi się dostosować. Innym aspektem obu tych organizacji jest na pewno nacisk na chrześcijański charakter polskiego nacjonalizmu. Fakt ten może budzić kontrowersje, choć nie oznacza, bynajmniej, że do tych stowarzyszeń należeć mogą jedynie katolicy, czy chrześcijanie. Oznacza natomiast, iż każdy członek powinien uznawać istotność, szczególną rolę chrześcijaństwa w dziejach Polski i Europy.

Innym środowiskiem nacjonalistycznym jest grono Autonomicznych Nacjonalistów. Nie mają oni określonej ściśle struktury, której powinni się

podporządkowywać. Czyni ich to niezależnymi, czy – jak sama ich nazwa wskazuje – autonomicznymi. Na pewno ich istotnym elementem składowym jest zorientowanie na współpracę międzynarodową bez kierowania się uprzedzeniami historycznymi. Wydaje się, że są także bardziej radykalni od MW, czy ONR. Nie stronią od „akcji bezpośrednich” oraz nawiązują często do idei nacjonalizmu rewolucyjnego oraz niesztampowych symboli, czy postaci. W pewnych przypadkach można uznać ich za subkulturę. W dużej mierze (względem pozostałych) ruch ten tworzony jest przez środowiska kibicowskie. Wszystkie te elementy czynią ruch AN dość specyficzną odmianą nacjonalizmu, choć z całą pewnością odgrywającą sporą rolę w całym środowisku narodowym.

Wspomnieć warto jeszcze o Trzeciej Drodze. Jest to środowisko, które może nie należy do najliczniejszych, ale działa stosunkowo prężnie i – na co szczególnie należy zwrócić uwagę – ma silne grono publicystów z niebanalnymi pomysłami, o czym świadczy chociażby ich strona internetowa. Charakterystycznym dla nich jest także przywiązanie do myśli filozoficznej Feliksa Konecznego. Oznacza to, że definiują cywilizację jako metodę życia społecznego, ale – co powinno nas bardziej interesować – przynależność do narodu jest dla nich kwestią – jak miemam – uwarunkowaną kulturowo (w swoim czasie wzbudziło to pewne kontrowersje).

Ostatnim z opisywanych przeze mnie polskich środowisk nacjonalistycznych będzie Falanga. Jak wspominałem wcześniej – nie roszczę sobie prawa do mianowania lub odbierania komukolwiek miana nacjonalisty. Nie mniej – jeśli miałbym wybrać społeczność, z którą w największym stopniu się nie zgadzam, to byłaby to właśnie Falanga. Dlaczego? Głównym powodem mojej antypatii jest przede wszystkim zupełnie odmienne niż w pozostałych organizacjach lub środowiskach traktowanie narodu. Przynajmniej tak interpretuję niektóre tezy zawarte w doktrynie tego ugrupowania. Autor tego ważnego dokumentu zechciał bowiem zanegować zasadność posługiwania się nowożytnym rozumieniem

narodu, które wciąż ma w mojej opinii rację bytu. Ponadto nie trafiają do mnie argumenty mające przemawiać za koniecznością współpracy między Polską i (obecną) Rosją.

Celem prezentacji tych wszystkich organizacji było ukazanie różnorodności polskiej sceny nacjonalistycznej. Wydaje się jednak, że jest ona nie tylko różnorodna, ale i – może przede wszystkim – podzielona. Pierwszym aspektem, który chciałbym poruszyć w ramach opisu obecnej sytuacji w naszym środowisku, będą właśnie wiecznie trwające konflikty między społecznościami nacjonalistów lub nawet wewnątrz owych grup. Jest to problem, który może w pewnym stopniu wynikać z naszej narodowej mentalności, ale nie mamy prawa do usprawiedliwiania się owym faktem – szczególnie dlatego, że jesteśmy nacjonalistami. Innym z powodów mogą być niekiedy niepohamowane ambicje liderów środowisk (prywatnie w obrębie organizacji teoretycznie zorientowanych na solidaryzm i dobro całego narodu). Drugim z elementów wyrządzających szkodę naszemu środowisku jest – jak to określił Jakub Siemiątkowski w jednym z artykułów z naszego miesięcznika – „wadliwa recepcja dawnej spuścizny ruchu narodowego”. W tym trafnym sformułowaniu zawiera się przede wszystkim fakt, iż naszych ideowych przodków traktujemy talmudycznie i wybiórczo. Z rzadka stać nas na rzeczowe oraz krytyczne analizy, z których wyciągamy wnioski dla dnia dzisiejszego. Trzecim negatywnym aspektem istniejącym w polskim środowisku narodowym jest rozmycie odpowiedzialności. Mam tu na myśli przede wszystkim fakt, iż od kreowania pomysłów jest ludzi naprawdę wielu, ale od ich realizowania niekoniecznie. Taka sytuacja doprowadza do tego, że na różnego rodzaju forach rodzi się naprawdę wiele ciekawych koncepcji i projektów inicjatyw, ale nie ma komu ich przekuć na rzeczywistość. Naszym czwartym z kolei mankamentem jest niewiele efektywnych koncepcji wykorzystania obecnej patriotycznej koniunktury. Wydaje się, że ten element powinien być silnie eksploatowany, ale niektórzy wolą narzekać, że ktoś lubi manifestować swoim

ubiorem przywiązanie do jakichś wartości, tradycji, czy tożsamości. Faktem jest to, że nie zawsze za ową manifestacją poglądów jest jakaś pogłębiona refleksja, czy nawet świadomość, ale również nasza w tym rola, żeby uległo to zmianie. Piątym aspektem negatywnym polskiego nacjonalizmu, który chciałbym przytoczyć jest rzadkość podejmowania działań, które są zorientowane na masową, czy szeroką skalę. Zamiast nich wolimy przeprowadzić raz na jakiś czas akcję, którą pochwalimy się w Internecie, żeby zaznaczyć, „żeśmy żywi”. Chwała każdemu nacjonalistcie, który angażuje się w pomoc ludziom potrzebującym, czy cierpiącym zwierzakom, ale i jakąkolwiek inną formę działalności charytatywnej, lecz należałoby pomyśleć nad aktywizmem konsekwentnym i możliwie szerokim. Szósty element dotyczy z jednej strony zamykania się we własnych, „kumaterskich” grupkach wzajemnej adoracji, a z drugiej przeświadczenia o tym, że dana społeczność jest najaktywniejsza. Powinniście wiedzieć, co i komu przyporządkować (nie będę wskazywał palcem), ale gwoli wyjaśnienia dodam, że są to zachowania tożsame i oparte na egocentryzmie, który nie powinien funkcjonować w naszym ruchu, choć jest wybitnie rozpowszechniony. Siódmy grzech to brak systematyczności, lenistwo i wymówki. Te wszystkie trzy kwestie składają się na ostatni element negatywny polskiego nacjonalizmu. Wcale nie są najmniej ważne. Rozbijają bowiem w sposób znaczny sprawność działania wielu środowisk, a występują szczególnie często wśród ludzi najmłodszych.

Zapewne dałoby się znaleźć więcej mankamentów naszego środowiska, ale już ta symboliczna siódemka świadczy o tym, że jest nad czym pracować i warto się zastanowić nad zmianami. Każdy z wymienionych aspektów negatywnych polskiego nacjonalizmu jest naszą niewątpliwą słabością. Czy mamy jednak szansę na zmiany? Czy w ogóle istnieje w nas wola, żeby ich dokonać? Wydaje się, że często zdarza się, iż człowiek preferuje utrzymanie statusu quo zamiast zrobienia choćby kilku kroków naprzód. Jako nacjonalisci powinniśmy pamiętać, że tylko odważnie krocząc do przodu jesteśmy w stanie realnie oddziaływać na

naród i – tym samym – realizować się w nim. Truizmem będzie stwierdzenie, iż owe przemiany nie są proste oraz muszą się nieustannie dokonywać w nas samych. Nie mniej – przyszłość powinna należeć do nas. Jeśli realnie bierzemy to pod uwagę, to winniśmy przestać bujać w obłokach, zakończyć mokre sny o rewolucji, czy bezrefleksyjną ekscytację nacjonalizmami innych narodów i wziąć się do roboty. Niech każdy znajdzie dziedzinę, w której jest dobry, którą lubi, do której ma talent i poza działalnością związaną z nacjonalizmem, tworzy przestrzeń oddziaływania również w obrębie swojej codzienności. Jeśli nie zrozumiemy, że nacjonalizm jest dobrowolnym wyborem, który powinien się przekładać na aktywizm dnia codziennego, to nie ma szans, żebyśmy zatriumfowali. W chwili obecnej mamy szerokie możliwości, kilka ciekawych i coraz lepiej rozwijających się dużych projektów (np. FOG, Media Narodowe i Marsz Niepodległości). To nie powód do tego, żeby spocząć na laurach. Wręcz przeciwnie – nasze sukcesy powinny nas motywować do jeszcze intensywniejszego zaangażowania się. Zacznijmy też patrzeć na siebie jak na środowisko mające zastąpić obecny, skostniały i demoliberalny system. Musimy jednak odrzucić spojrzenia wstecz, a odważnie kroczyć naprzód – z nowymi inicjatywami, które przyczynią się do jeszcze większego zasięgu oddziaływania nacjonalizmu w Polsce i przede wszystkim staną się realną alternatywą wobec tego, co widzimy dookoła!

Nacjonalisto, idea czeka właśnie na Ciebie – ona wymaga działania!

Michał Walkowski

Źródła:

1) „Niezbędnik narodowca”

- 2) <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/30-czego-brakuje-polskiemu-nacjonalizmowi>
- 3) <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/160-co-dalej-z-polskim-nacjonalizmem>
- 4) <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/252-pokonac-nacjonalistyczna-stagnacje>
- 5) <http://www.nacjonalista.pl/2014/07/04/krzysztof-kubacki-jestem-nacjonalista/>
- 6) <http://mw.org.pl/about/deklaracja-ideowa/>
- 7) <https://www.onr.com.pl/deklaracja-ideowa/>
- 8) http://autonom.pl/?page_id=2 – informacje o ruchu AN
- 9) <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/448-tomasz-kosinski-autonomiczny-nacjonalizm-forma-dzialalnosci-nacjonalistycznej-w-xxi-wieku-i-jej-przyszlosc-w-polsce>
- 10) <http://3droga.pl/deklaracja-ideowa/>
- 11) http://falanga.org.pl/?page_id=792 - „Doktryna Falangi”

Paweł Bielawski – „Islam, kapitalizm a przyszłość Europy”



Wiele się dziś mówi o islamie – ciężko zresztą nie mówić. Jest to obecnie najszybciej rozwijająca się religia na świecie, budzi też wiele kontrowersji. Istotne jest jednak to, że wraz z postępującą masową nie-europejską imigracją, trwająca już dłuższy czas, muzułmanów ciągle w Europie przybywa. Proces ten ciągle postępuje i ma swoje skutki. Rozprzestrzenianie się islamu w Europie jest niekwestionowanym faktem. Prędzej czy później przyjdzie moment, w którym Europejczycy będą musieli się określić co z tym fantem zrobić. Ale jak w ogóle doszło do takiej sytuacji?

Po II wojnie światowej, w zachodniej Europie nastąpił czas wybuchu gospodarczego i nieznanego dotąd dobrobytu (był to jednocześnie czas doktrynalnego antyfaszyzmu, z powodów powszechnie znanych). Weźmy za przykład Francję – tam jeszcze nawet przed II wojną, już w XIX w. zaczęli być przyjmowani masowo zagraniczni imigranci. W roku 1911 było już ich milion (głównie jednak byli to Europejczycy). Po II wojnie zaczęli przyjeżdżać w dużej ilości imigranci z krajów Magrebu, głównie Algerii i Maroka. Od 1962 do 1974 przyjechało ich ok. 2 miliony.

Kto za tym lobbował? Przede wszystkim wielki biznes. Pozwalało to wielu przedsiębiorcom na wywieranie presji płacowej, jak również coraz bardziej „swobodnie” podchodzić do kwestii praw pracowniczych. Pojawianie się coraz

większej ilości zagranicznych pracowników (u których ponadto brakowało tradycji społecznej rywalizacji) skutkowało coraz większym podzieleniem się pracowników i – co za tym idzie – osłabieniem jedności frontu pracowniczego. Podkreślmy to całą mocą dwie kwestie. Po pierwsze, to nie „lewica” gardłowała za coraz większą ilością nie-europejskiej imigracji. Po drugie, zachodnioeuropejscy przedsiębiorcy nie ściągali milionów imigrantów po to, aby rozdawać im pieniądze (jak często twierdzi prawica), tylko dlatego, że potrzebna im była duża ilość taniej siły roboczej, w związku z dynamicznym rozwojem gospodarczym.

Czy można było nie przyjmować takiej ilości nie-europejskiej imigracji? Można było, ale ceną za to byłoby spowolnienie gospodarcze. Tyle, że nikt tego nie chciał. To jest kolejna kwestia, która liberalnej pipi-prawicy jest nie w smak – masowa imigracja jest nierozzerwalnie połączona z dynamicznym rozwojem gospodarczym. I tak np. ostatnie dane gospodarcze z Niemiec (po ostatniej masowej fali imigracyjnej) pokazują naprawdę świetne wyniki ekonomiczne (2017 r.).

Imigracja to armia rezerwowa Kapitału, którą Kapitał używa do walki z Pracą, tzn. by móc zwiększać swoje zyski poprzez coraz większe obniżanie płac i móc coraz bardziej „elastycznie” podchodzić do prawa pracy. Do tego wszystkiego dochodzi fakt, iż większość afrykańskich imigrantów w zachodniej Europie to muzułmanie. Idzie za tym oczywiście „rozsiadanie się” się w Europie całych legionów ludzi o kompletnie odmiennej tożsamości, mentalności i standardach cywilizacyjnych, dlatego nieraz słyszy się o postępującej „islamizacji”. Rodzi się pytanie: czy problemem jest sam islam?

I tak na przykład w ramach francuskiej Nowej Prawicy zdania są podzielone – spierali się o to Alain de Benoist i Guillaume Faye. Pierwszy uważa, że o ile można mówić o jakiejś „islamizacji” to jest to nic innego jak tylko skutek

masowej nie-europejskiej imigracji. Ten drugi uważa, że to jest kolejna faza odwiecznego starcia świata europejskiego i muzułmańskiego, a konkretnie jego „trzecia fala” (pierwsza zakończyła się bitwą pod Poitiers w 732 r., druga pod Wiedniem w 1683 r.

Odpowiedź na to pytanie, tzn. czy problemem jest islam, czy masowa imigracja jest absolutnie kluczowe. Dlaczego? Dlatego, że od odpowiedzi na to pytanie zależy przyjęcie strategii. A. de Benoist uważa, że problemem jest przede wszystkim globalny kapitalizm (którego epicentrum jest w USA) i nie jest antagonistycznie nastawiony do islamu jako takiego, tylko do masowej imigracji spowodowanej przez mechanizmy liberalnego kapitalizmu (z którym prędzej czy później będzie trzeba coś wreszcie zrobić). G. Faye uważa islam za śmiertelnego wroga Europy, w związku z czym posunął się wręcz do zdecydowanego poparcia syjonizmu i stonowania krytyki USA.

Jest niewątpliwie prawdą, iż islam jako taki ma potencjał i zapędy „konkwistadorskie”. Doktryna islamu – w postaci logiki dżihadu – głosi, w uproszczeniu, iż świat podzielony jest na sferę islamu (dar al-islam) i sferę wojny (dar al-harb). „Niewierni” będą musieli się nawrócić albo, jeżeli ktoś jest chrześcijaninem lub wyznawcą judaizmu, poddać się władzy islamskiej. Wiele ludzi widzi sprzeczność w konkwistadorskim aspekcie islamu i tym, że jak sami muzułmanie często głoszą -islam to „religia pokoju”. Otóż nie ma w tym żadnej sprzeczności. Pokój, w ich rozumieniu, odnosi się bowiem do przyszłości, w której islam będzie dominował nad światem. Pokój jest utożsamiany z szariatem. Wojnę prowokuje zaś ten, kto nie chce pokoju (szariatu). Jeśli więc coś nie jest dar al-islam, jest w takim razie dar al-harb. Logiczne, prawda? Jest to oczywiście duże uproszczenie, niemniej pokazuje pewną tendencję – świat dzieli się na muzułmanów i tych, którzy „jeszcze nie zmądrzeli”.

Czy mieć należy pretensje do muzułmanów, że robią dokładnie to, co islam od nich wymaga? To jest oczywiście głupie. Równie dobrze można mieć pretensje do skorpiona, że używa swego żądła. To leży w jego naturze. Dlatego śmiechu warte są prośby liberałów europejskich by islam się „ucywilił” lub usilne próby do dzielenia islam na „umiarkowany” i „nieumiarkowany” i mówienie, że „nie wszyscy są tacy” itd. Islam to pewien system, którego światopogląd jest kompletnym zaprzeczeniem światopoglądu liberalnego. Wielu (demo)liberałów po prostu nie jest w stanie tego pojąć.

Pozwolę wtrącić moje trzy grosze. Uważam, że G. Faye popełnia błąd w ocenie sytuacji. Nawet jeżeli by przyjąć tezę (moim zdaniem niezbyt trafną), że obecna „islamizacja” to trzecia faza starcia Europy z islamem, to istnieje zasadnicza różnica między obecną „falą” a dwiema poprzednimi. Po pierwsze – zarówno w bitwie pod Poitiers, jak i pod Wiedniem (nie wspominając o krucjatach), Europejczycy mężnie stanęli naprzeciw armiom muzułmańskim. Po drugie, w obu przypadkach armie muzułmańskie wdzierały się siłą (z własnej inicjatywy) na tereny Europy – nie pojawiły się one na zaproszenie samych Europejczyków.

Kto więc i dlaczego ich tutaj zaprosił? Zaprosił ich tutaj liberalnie nastawiony biznes by gospodarka „nie zwolniła”. Trzeba się więc zastanowić nad priorytetami. Etniczna homogeniczność czy wzrost gospodarczy? Wielki biznes, dla którego nie ma narodów i kultur, są tylko rynek i konsumenci, odpowiedział sobie na to pytanie.

Islam jest tutaj co najwyżej katalizatorem. Ogromna ilość muzułmanów nie pojawiła się w Europie dlatego, że pewnego dnia muzułmanie się obudzili i stwierdzili: „Hej! Zróbmy sobie kolonizację Europy!”. To Francuzi wtargnęli na tereny m.in. Algierii i korzystali na tym ekonomicznie, a potem sami ściągali ich masowo jeszcze do siebie. „Islamizacji” Europy by w ogóle nie było, gdyby nie

masowa imigracja spowodowana rynkowym talmudyzmem liberalnych elit – bo przecież nie ma nic ważniejszego niż wzrost gospodarczy, prawda?

„Ktokolwiek krytykuje kapitalizm, jednocześnie aprobując imigrację, której pierwszą ofiarą jest jego własna klasa robotnicza, powinien się lepiej zamknąć. Ktokolwiek krytykuje imigrację, jednocześnie milcząc na temat kapitalizmu, powinien zrobić to samo.”

Paweł Bielawski

Adam Busse – „O mirażach wokół wizyty Donalda Trumpa w Polsce”



"Sojusz idealny to sojusz, w którym jeśli strona zawierająca go straci niepodległość, to i jej kontrahent także traci niepodległość. Idealem sojuszu politycznie doskonałego było małżeństwo Jadwigi i Jagiełły. Ten sojusz polityczny, poparty przez układ ostrowski zawarty z Witoldem, stworzył wielkie państwo, które trwało wieki. Natomiast jeśli jakieś wielkie państwo zawiera układ z małym państwem, układ, który jedynie przez kurtuazję nazywa się sojuszem, a potem, kiedy to małe państwo traci niepodległość, to się w niczym nie odbija na interesach tego wielkiego państwa, to mamy doskonały przykład sojuszu egzotycznego."

- Stanisław Cat-Mackiewicz

Myśl wybitnego polskiego publicysty i przedstawiciela wileńskich „Żubrów” przystępnie oddaje współczesne położenie Polski w Europie Środkowo – Wschodniej. Zanim do tego przejdę, pochylę się nad tym, co działo się 6 lipca 2017 roku. Ulice Warszawy były obstawione przez liczniejsze niż zazwyczaj patrole policyjne, nad miastem latały śmigłowce, co miało dać gwarancję bezpieczeństwa wizyty. Wizyta Donalda Trumpa w Polsce stała się wydarzeniem elektryzującym polskie społeczeństwo z prawicy i lewicy. Lewica protestowała

przeciwko wizycie amerykańskiego prezydenta poprzez ubranie się w czerwone peleryny i białe kaptury chcąc wyrazić pogląd, iż Trump „prześladuje kobiety” sprzeciwiając się aborcji. Lewicowo-liberalne media za granicą, głównie w Niemczech i USA, wytykały Trumpowi m.in. brak ustosunkowania się do wewnętrznego sporu politycznego w Polsce, rzekomo nacjonalistyczne akcenty w przemówieniu na placu Krasińskich, a niemieckie media uważały, iż to był wyraźny sygnał dla Unii Europejskiej i Rosji, krytyczny sygnał. Gmina żydowska wyraziła ubolewanie, że amerykański prezydent nie odwiedził pomnika Bohaterów Getta pomimo faktu, że hołd powstańcom z 1943 roku oddała córka prezydenta, Ivanka Trump. Tłumy Polaków zgromadzone na Placu Krasińskich z nieukrywaną radością i sympatią słuchały przemówienia Trumpa, w którym kilkakrotnie odniósł się do polskiej historii, przywołał 5. Artykuł Traktatu Waszyngtońskiego dziękując polskiemu rządowi za czynne zaangażowanie w tworzenie NATO oraz wzywał Zachód do obudzenia się i obrony europejskiej cywilizacji. Dzień po wizycie cztery firmy z Polski i Chorwacji podpisały umowy o współpracy gospodarczej, działaniach w zakresie bezpieczeństwa energetycznego, żeglugi i gospodarki morskiej, co ma być zwieńczeniem inicjatywy Trójmorza, do której należą m.in. Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Chorwacja i Rumunia. Tak w telegraficznym skrócie można przedstawić wydarzenia z 6 lipca 2017 roku w Warszawie.

Fakt, iż Donald Trump przyjechał do Polski, nie jest związany z tym, że przywódca jednego ze światowych supermocarstw kocha Polskę, tylko ma w tym swój interes. Dał pstryczka w nos Rosji, podgrzał atmosferę w kwestii kryzysu imigracyjnego, pochwalił nasz kraj za utrzymanie bezpieczeństwa oraz zapewnił, „że Polska nigdy nie będzie sama”.

Polska mimo posiadanego potencjału i możliwości nie jest potęgą europejską, co sugerują niektóre media. Stany Zjednoczone Ameryki są położone tysiące kilometrów dalej od nas, po drugiej stronie Atlantyku, a nasi sąsiedzi – Niemcy, Czechy, Słowacja, Ukraina, Białoruś, Litwa i Federacja Rosyjska (obwód kaliningradzki) – bardzo blisko, wobec czego należy prowadzić racjonalną i zdroworozsądkową politykę zagraniczną. Taką, która nie pozwoli na uzależnienie naszego państwa od wpływów i dyktatu jakichkolwiek zagranicznych ośrodków politycznych i która będzie dla Polski podmiotowa, a nie przedmiotowa. Na arenie międzynarodowej liczą się bowiem nie uczucia, ale interesy i chłodne kalkulacje. Każde państwo stara się coś ugrać i uzyskać na swoją korzyść.

W sferze gospodarczej wyłączając projekt Trójmorza i podpisane umowy polsko-chorwackie, Donald Trump miał w swojej wizycie interes w tym, żeby rozszerzyć na Polskę eksport amerykańskiego węgla i gazu. Dr Michał Wilczyński w wywiadzie z Anną Kalińską dla portalu „Money.pl” wskazał na dość szybkie zużycie węgla w USA, a „mając potężny i nowoczesny sektor górniczy mają problem z nadprodukcją i szukają rynków zbytu. Chętnie wyeksportują to paliwo do kraju, w którym ‘kwitnie’ energetyka węglowa, a górnictwo ledwo żyje.”. Powoli spełnia się wg eksperta scenariusz, w którym do 2030 roku Polska będzie importować więcej węgla niż go wydobywać, a zakup amerykańskiego węgla może doprowadzić w dalszej konsekwencji do upadku polskiego górnictwa:

„W ciągu ostatnich 10 lat wydobywanie spadło z blisko 83 mln ton w 2007 roku do 66,5 mln ton w 2016 roku. I to wszystko mimo 66 miliardów zł z kieszeni podatników jako pomoc publiczna dla górnictwa węgla kamiennego w tym okresie. I wydobywanie nadal będzie się zmniejszać, ponieważ ‘ratując’ górnictwo w 2016 roku obcięto wydatki inwestycyjne o 36 proc. Nie ma więc przygotowanych nowych ścian, gdzie można byłoby wydobywać. Ich liczba spada, a uruchomienie nowych wiąże się z rozpoczęciem procesu, który trwa 4-5 lat. (...). Inna sprawa, że nasz polski węgiel jest fatalnej jakości.”

Następną sprawą wartą uwagi jest dywersyfikacja dostaw amerykańskiego gazu, który został kupiony w pierwszym tygodniu lipca przez PGNiG, a pierwszy gazowiec z Ameryki 7 lipca 2017 roku zawinął do portu w Świnoujściu i w ciągu doby został rozładowany. Polska instytucja nie ujawniła ile zapłaciła za gaz i nie podała jego dokładnej ilości. Wg Magdaleny Graniszewskiej wiadomo „że standardowa pojemność amerykańskich tankowców to 70 tys. ton LNG, czyli skroplonego gazu ziemnego. Po regazyfikacji LNG przeistoczy się w ok. 100 mln m³ gazu lotnego. Dla porównania, roczne zużycie gazu w Polsce to ok. 15 mld m³, z czego dwie trzecie sprowadzamy gazociągiem z Rosji”. Problemem natomiast będzie, pomimo iż Polska oprócz kupionego gazu z USA posiada też inne źródła dywersyfikacji (Rosja, Katar, inne dostawy gazu etc.), eksport gazu. Jak ocenił główny analityk firmy Xelion, Piotr Kuczyński, problem dotyczy proporcji posiadania przez Stany Zjednoczone terminali do odbioru gazu wobec terminali do eksportu gazu:

„Problem jest w możliwościach amerykańskich tego eksportu. Nie chodzi mi o to, czy mają ten gaz, czy nie, bo go mają. Ale że (...) mają terminale przede wszystkim do odbioru gazu, a tylko jeden do wysyłania gazu. Jak je zmienią na takie, które będą mogły eksportować gaz, to będą w stanie w ciągu następnych kilku lat oczywiście więcej tego gazu eksportować.”

Wg eksperta Donald Trump w ten sposób ratuje amerykański przemysł petrochemiczny: „Bardzo niskie ceny gazu wprowadziły tych, którzy wiercą wydobywco ten gaz w stan dużego problemu. Są to przede wszystkim małe firmy, które zaciągają kredyty. I w ten sposób Trump chce ratować cały ten przemysł. I to dla nas też jest szansa. Dlatego, że dzięki temu możemy wytargować w miarę sensowną cenę. Wiadomo, że po pierwsze transport takiego gazu, po drugie skraplanie, później odwracanie tego procesu w Polsce –

powoduje, że ten gaz będzie drogi. Na pewno dużo droższy niż rosyjski. W związku z tym jest szansa wytargować odpowiednią cenę. Ale to nie jest na poziomie prezydentów.”

Pojawia się pytanie, na jakich zasadach jest realizowany poziom dywersyfikacji dostaw amerykańskiego gazu, skoro jego cena w dłuższej perspektywie pozostaje nieuregulowana. Na temat kontraktów z Amerykanami niewiele mówią przedstawiciele rządu i PGNiG, zaś mniej tajemnicze pozostają USA, które opublikowały dane dot. ostatecznej ceny LNG dostarczanego do Polski, a z niej wynika, że amerykański gaz będzie niekonkurencyjny. Cena amerykańskiego gazu sprowadzanego do Polski może wynieść około 180 dolarów za 1000 m³. Amerykanie publikują oficjalne cenniki i opłaty, które warunkują ostateczną cenę gazu sprowadzanego do Europy.

Zgodnie z ich wyliczeniami koszty są następujące:

34 zł/MWh – kosztuje gaz w Henry Hub, końcówce rury gazowej w Luizjanie, a stawka zależy od notowań giełdy nowojorskiej

69 zł/MWh – cena z Towarowej Giełdy Energii w Warszawie

113 zł/MWh – średnia cena amerykańskiego gazu dostarczanego do Polski po doliczeniu marży Cheniere Energy (największego amerykańskiego eksportera) oraz opłaty za skroplenie gazu ziemnego i kosztów jego regazyfikacji w Polsce.

Niezależnie od tego, jaki rząd obecnie sprawuje władzę w Polsce, mamy do czynienia z pewnym kompleksem niższości wobec Zachodu, charakteryzującym się emocjonalnym podejściem do wizyt zagranicznych polityków/dygnitarzy/władców, naiwną wiarą w to, że co na Zachodzie, to lepsze oraz potrzebą dowartościowania się poprzez deklaracje zachodnich polityków,

najlepiej podparte bogoojczyźnianymi frazesami. Stąd główny nurt polskiej sceny politycznej oscyluje wokół podległości oraz wiary we wspaniałomyślność amerykańskiego supermocarstwa. Pomimo iż należy przemówienie Trumpa na Placu Krasiańskich ocenić pozytywnie, ponieważ zrobił on darmową reklamę polskiej historii na całym świecie, to należy stwierdzić, iż przekupywanie Polaków tanimi chwytami na powyższym przykładzie jest dość niepokojącym zjawiskiem, które było powtarzane od lat.

Rząd Prawa i Sprawiedliwości usiłuje przekonywać Polaków, że gwarantem bezpieczeństwa jest stacjonowanie amerykańskich, a więc obcych wojsk na naszym terytorium. Wieszanie bilbordów zapraszających na polsko-amerykański piknik wojskowy, entuzjastyczne witanie przyjeżdżającego do Polski kontyngentu US Army oraz jawnie proamerykańska polityka rządu są tego znaczącym wyrazem. MON podpisał porozumienie z Departamentem Obrony USA ws. zakupu systemu obrony powietrznej „Patriot”, będące rezultatem negocjacji prowadzonych od 2015 roku przez rząd Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. W marcu 2017 roku ministerstwo obrony wystosowało zmodyfikowane pytanie ofertowe o system wyposażony w nowe, dookólne radary i zintegrowany z nowym systemem zarządzania polem walki, który miał zostać wprowadzony w armii amerykańskiej. Antoni Macierewicz mówił, że koszt zakupu systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej średniego zasięgu wyniesie nie więcej niż 30 mld złotych.

W czerwcu wiceminister MON Bartosz Kownacki odbył kolejną turę rozmów w sprawie „Patriot” z przedstawicielami rządu oraz reprezentantami firm produkujących ten system. Mimo realizowanych planów dotyczących unowocześnienia polskiego systemu obronnego ze strony MON Amerykanie nie będą chcieli uwzględnić listy polskiego resortu z blisko 60 technologiami, jakie chcielibyśmy w związku z tym pozyskać. To nie wróży dobrze naszym interesom, natomiast Donald Trump w ogóle o tym nie wspomniał, co też potwierdza fakt,

iz należy sceptycznie ocenić jego wizytę w Polsce. Koszty programu budowy tarczy antyrakietowej i przeciwlotniczej „Wisła” szacowane są z kolei na 30 – 50 mld złotych.

Znając wiernopoddańczy stosunek rządu PiS do Stanów Zjednoczonych warto pamiętać, że deklaracja Donalda Trumpa dotycząca walki z terroryzmem Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie nie wiąże interesu amerykańskiej polityki w utrzymywaniu stabilnych rządów Syrii i Iranu, które wzięły wraz z Irakiem na siebie główny ciężar walki z islamistami. To wzbudza niepokój, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, iż USA z zachodnioeuropejskimi sojusznikami przez większą część syryjskiej wojny domowej udzielały wsparcia rebeliantom i dżihadystom. Interesy USA na Bliskim Wschodzie wbrew wszelkim pozorom nie powinny pokrywać się z polskimi interesami w regionie. Polityka Ameryki na dłuższą metę szkodzi relacjom polsko – irańskim. Wymiana handlowa Polski z Iranem ze względu na międzynarodowe sankcje przez bardzo długi czas była ograniczona do minimum, natomiast po ich zniesieniu polski eksport do Iranu zwiększył się pięciokrotnie, a import z Iranu do Polski – sześciokrotnie. Wg danych GUS, w całym 2015 roku polski eksport do Iranu wyniósł 49,8 mln dolarów, a import z Iranu – 32,7 mln dolarów. 2/3 polskiego importu z Iranu stanowiła ropa naftowa, którą mogły przerobić polskie rafinerie, natomiast za istotne z polskiego punktu widzenia branże uznano irański sektor przetwórstwa rolno-spożywczego, odnawialnych źródeł energii, przemysł stoczniowy i transportowy. Wg wicedyrektora departamentu współpracy międzynarodowej w Ministerstwie Rozwoju, Tomasza Salomona, szacuje się zapotrzebowanie na infrastrukturę irańskiego sektora wydobywczego na 25 mld dolarów do 2025 roku.

Reasumując, wizyta amerykańskiego prezydenta w Polsce nie była obliczona na określenie swojej miłości do Polski – poza kilkoma gestami i porywającym tłumy

przemówieniem na Placu Krasińskich. Była nastawiona na realizowanie interesu politycznego Stanów Zjednoczonych Ameryki. Interesy amerykańskie nie powinny pokrywać się zawsze z interesami polskimi. Korzyści, jakie można ugrać na tym, są bardziej istotne od podbijania uczuć Polaków. Dzięki zawartym kontraktom amerykański budżet się wzbogaci. Polskie społeczeństwo w końcu powinno pojąć, że w stosunkach międzynarodowych nie ma pięknych słów, ale jest gra o interesy. Niestety przez lata, czy nawet wieki, było to – w przenośni rzecz jasna – walenie głową w mur, ponieważ zagrać na uczuciach i kupić tym sobie poparcie jest bardzo łatwo.

Adam Busse

Wybrana bibliografia:

S. Cat-Mackiewicz, *Był bal*, Warszawa 1973

A. Kalińska, *Trump w Polsce. „Ameryka szuka miejsca na upchnięcie swojego węgla”*, „Money.pl”, 6 lipca 2017.

K. Kubacki, *Ameryko, dla Ciebie wszystko?*, „Narodowalodz.pl”, 1 lipca 2017

K. Kubacki, *USA po wyborach. Rzecz o polityce zagranicznej cz. 2*, „SZTURM – miesięcznik narodowo – radykalny” 2016, nr 26.

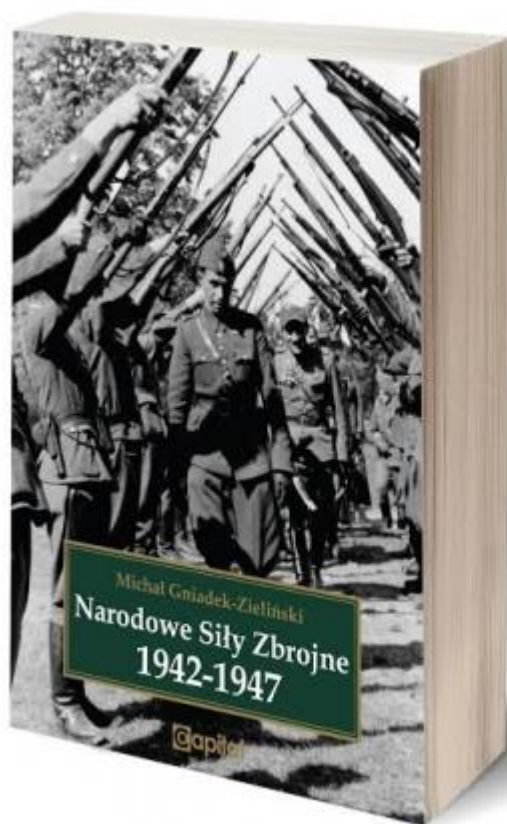
A. Szcześniak, *Amerykański gaz? Cena robi różnicę*, „kierunekchemia.pl”, 5 maja 2017.

<http://forsal.pl/gospodarka/aktualnosci/artykuly/1056069,eksperti-o-szansach-na-umowe-z-usa-amerykanski-gaz-bedzie-drogi.html>

<http://www.money.pl/gospodarka/wiadomosci/artykul/sankcje-wobec-iranu-wymiana-handlowa-polski-z,150,0,2284438.html>

<https://www.pb.pl/amerykanski-gaz-dotarl-do-polski-863799>

**Grzegorz Ćwik – „M. Gniadek-Zieliński, Narodowe Siły Zbrojne 1942-1947
– recenzja”**



Są tematy i zagadnienia które dla nas nacjonalistów są szczególnie bliskie i ważne. Te którymi interesujemy się i fascynujemy nie tylko ze względów praktycznych, ideologicznych, ale także przez stosunek emocjonalny, jaki nas z nimi łączy. Narodowe Siły Zbrojne i ich walka z dwoma okupantami z pewnością należą do kilku takich tematów, które są nam najbliższe. Na pewno cieszy popularyzacja NSZ, zwłaszcza w kontekście walki z komunistycznym reżimem, jaką obserwujemy od ostatnich mniej więcej 7 lat. Coraz większa liczba publikacji, artykułów, wydawnictw źródłowych, wreszcie filmów kinowych i seriali telewizyjnych – to wszystko pokłosie popularyzacji tego tematu w szerokich kręgach społeczeństwa. Historia tematem NSZ zajmuje się od dawna, podejmowali go jeszcze emigracyjni historycy i publicyści. Po 1989 roku

tematyka ta mogła być badana także w Polsce, a jej wyniki publikowane legalnie. Mimo to jednak, choć minęło 28 lat, do dnia dzisiejszego nie doczekaliśmy się całościowej, kompleksowej i *stricte* naukowej monografii dotyczącej historii Narodowych Sił Zbrojnych i ich walki. Przyczyn tego jest wiele – problem z dostępem do źródeł, słaba znajomość tematu w społeczeństwie (przynajmniej do pewnego momentu), także polityczne obciążenie związane z problematyką narodowych organizacji zbrojnych w czasie ostatniej wojny światowej. Zostało napisanych oczywiście, tak na emigracji jak i w kraju, kilka prac o charakterze popularyzatorskim czy publicystyczno-wspomnieniowym, jednak nie obejmowały całości tematyki, jak i nie spełniały wszystkich wymogów naukowych.

W nawiązaniu do wstępu, z tym większą radością i uznaniem przyjąć trzeba pojawienie się na rynku księgarskim książki Michała Gniadka-Zielińskiego „Narodowe Siły Zbrojne 1942-1947”. Jest to pierwsza w pełni spełniająca naukowe wymogi monografia tak bliskiej nam formacji zbrojnej. Autor we wstępie cel swojej pracy stawia sobie bardzo ambitnie: jest to próba przedstawienia „dzisiejszego stanu wiedzy na temat powstania, działania i struktury Narodowych Sił Zbrojnych w latach 1942-1947 oraz skonfrontowanie tzw. czarnej (i białej!) legendy NSZ z dokumentami i relacjami świadków epoki” (s. 19). Przyznać trzeba, że to bardzo wysoko zawieszona poprzeczka dla badacza historii. Tym bardziej, że sam Autor, co przyznaje on jak i jego opiekunowie naukowcy, dopiero rozpoczyna przygodę z „nauczycielką życia”, czyli historią. Ale może to jest właśnie jego siła i ogromny plus w stosunku do innych badaczy? Autor z pewnością wykazuje świeże spojrzenie na temat, większy dystans i obiektywizm, a w efekcie praca, jak wykażę niżej, stanowi kamień milowy w poznaniu dziejów polskiego obozu narodowego w okresie 2 wojny światowej. Michał Gniadek-Zieliński ponadto udowodnił, że książkę o takiej tematyce w sposób rzetelny i pozbawiony stronniczości napisać może osoba, która zalicza się do szeroko rozumianej prawicy. Wprawdzie Autor raczej definiuje się jako

monarchista i konserwatywny liberał, jednak nie zmienia faktu, że z pewnością emocjonalne sympatie lokuje po stronie NSZ-owców. Tym bardziej chapeau bas za podjęcie tego tematu.

Książka podzielona jest na 6 zasadniczych części, a te z kolei na 24 rozdziały. Całość opracowano w układzie problemowym. Pierwsza część to swoiste wprowadzenie do tematyki obozu narodowego po kampanii wrześniowej – „Narodowcy po klęsce wrześniowej”. Autor opisuje w niej organizacje i podziemne struktury jakie wytworzyli SN-owcy i ONR-owcy po wrześniu 1939 roku. Przeanalizowane zostają także organizacje zbrojne związane z różnymi odłamami prawicy narodowej, które zesłała do podziemia, w tym dwie najważniejsze: Narodowa Organizacja Wojskowa oraz Związek Jaszczurczy, jak również szereg mniejszych organizacji. Część druga, „U podstaw Narodowych Sił Zbrojnych” dotyczy genezy powstania NSZ. Opisany jest tu rozłam w NOW na tle scalenia z Armią Krajową i wynikiłe z tego reperkusje, które w efekcie doprowadziły do uformowania się NSZ. Niezwykle obszernie opisany został program polityczny i wojskowy NSZ oraz cele tej organizacji w kontekście planowania przyszłości Polski po zakończeniu wojny. Część trzecia opisuje strukturę NSZ. To poniekąd część o charakterze kompendium, w której opisano dowództwo NSZ, oraz podział terenowy i obsadę personalną od października 1942 do listopada 1945 roku. Znajdziemy tu ogromną liczbę nazwisk, danych, odtworzonych struktur, jak również sporo niewiadomych i stanowisk, których obsady nie udało się ustalić. Część czwarta dotyczy działalności NSZ. Kolejne rozdziały opisują akcje wywiadu, Biura Fałszerstw, propagandy NSZ, Służbę Cywilną Narodu, walkę zbrojną, powstanie warszawskie. Bardzo obszerny i ważny rozdział traktuje o Brygadzie Świętokrzyskiej. Część piąta skupia się stosunku Polskie Rządu w Londynie do Narodowych Sił Zbrojnych, jak również relacji NSZ z innymi organizacjami podziemnymi i konspiracyjnymi. Wreszcie rozdział szósty opisuje stosunek obu okupantów, sowieckiego i niemieckiego, do

NSZ. Całość wieńczy epilog, aneksy źródłowe, obszerna bibliografia oraz indeksy.

Bardzo ważnym aspektem tej pracy jest jej podstawa źródłowa, oraz wykorzystana przez Autora literatura naukowa. Temat jakiego podjął się Michał Gniadek-Zieliński jest nie tylko obszerny i trudny, ale też przez kilka dekad obrósł wieloma mitami, tak białymi jak i czarnymi (co sam Autor wielokrotnie zauważa). Aby więc dociec „jak było naprawdę” koniecznym jest, aby pracę taką oprzeć o różnorodną jakościowo i ilościowo bibliografię. I tak też się stało. Monografia NSZ jaką otrzymaliśmy do rąk jest wynikiem badań źródłowych opartych na materiałach archiwalnych, licznych pamiętnikach i wspomnieniach, wykorzystano także bogatą prasę podziemną, jak i powojenną. Ponadto Autor posłużył się wydanymi i opracowywanymi już zbiorami dokumentów. Tak szerokie potraktowane kwerendy pozwoliło na obiektywne, merytoryczne a przede wszystkim kompetentne podejście do tematyki NSZ. Także ilość wykorzystanych opracowań, zwartych pozycji jak i artykułów i przyczynków, wpłynęła na to, że recenzowana pozycja stoi na bardzo wysokim poziomie.

Podsumowując omówienie książki i przechodząc do samej recenzji, stwierdzić trzeba, że „Narodowe Siły Zbrojne 1942-1947” pełni spełniają wymogi pod względem naukowym, konstrukcji i wykorzystanej bazy źródłowej oraz literatury przedmiotu.

Można rzec, że dla nas jako nacjonalistów samym plusem jest już tematyka jaką porusza recenzowana praca. Narodowe Siły Zbrojne to formacja i eposeja, jakie mamy w sercu i pamięci. Łatwo jednak, omawiając i badając ten jakże trudny rozdział naszej historii, o błędy. Czy to w postaci emocjonalnego, a nie opartego na analizie źródeł podejścia, czy to na zbytnej ideologizacji czy pogubienia się w często niejasnej i słabo zbadanej rzeczywistości historycznej. Sądzę, że właśnie ostatnie zagrożenie były największe. Narodowe Siły Zbrojne to po pierwsze

historia, która działa się przede wszystkim w okresie niezwykle krwawej wojny, a do tego w warunkach konspiracji. Już to powoduje ogromne problemy ze źródłami, ich analizą, porównaniem, próbą rekonstruowania tej materii. Wiele źródeł niestety zaginęło (zwłaszcza archiwalnych), dużo jest trudnych w analizie (choćby kwestia używania pseudonimów przez NSZ-owców w oficjalnych nawet dokumentach i rozkazach), do tego często są one sprzeczne i wzajemnie się wykluczające. Po drugie – mało który temat, jak Narodowe Siły Zbrojne, jest tak obciążony politycznie. Już w trakcie walki tej formacji stała się ona dla wielu „solą w oku”. Po wojnie, jak doskonale wiemy, najpierw NSZ-owców spotkały straszliwe prześladowania, a sam temat w oficjalnej historiografii i publicystyce przedstawiany był w sposób zakłamany i nieprawdziwy. Po 1989 roku wprowadzono możliwość rzetelnego opracowania tej tematyki, jednak z drugiej strony temat „Żołnierzy Wyklętych” i NSZ stał się elementem walki politycznej rozlicznych partii i środowisk, co umocniło pewne stereotypy z tym związane, jak i utrudniło niejako obiektywne podejście do zagadnienia. Tym bardziej więc trzeba oddać Autorowi, iż napisana przez niego książka jest pozycją obiektywną, niepozbawioną krytycyzmu, rzetelności a jednocześnie dobrej znajomości realiów historycznych. Przede wszystkim widać to w stosunku do źródeł, które to zawsze poddawane są wnikliwej krytyce. Dotyczy to tak źródeł dokumentowych jak i tych wywołanych, a więc wspomnień, relacji, pamiętników. Autor nie stara się też w żaden sposób cofać przed krytycznymi wnioskami dotyczącymi poszczególnych organizacji narodowych, nie tylko NSZ. Widać to choćby przy omówieniu NOW i Związku Jaszczurczego, gdzie zarówno zostaje wprost stwierdzone, że były to w dużej mierze struktury tworzone przez cywilów i bardzo mocno rozpolitykowane, jak i że nie na wszystkich polach działania organizacje te funkcjonowały sprężysto i aktywnie.

Ogromnym atutem książki jest jej baza źródłowa. Scharakteryzowałem ją już wyżej, tak więc wiemy, że jest bardzo obszerna. Pozwala to na konfrontowanie

różnych źródeł, i to różnych rodzajów, aby w wyniku tego odnaleźć odpowiedzi na stawiane przez Autora pytania. Jednocześnie, pomimo szerokiej kwerendy, źródła nie są *a priori* przyjmowane w sposób bezkrytyczny, a wręcz przeciwnie – do krytyki wewnętrznej, jak i zewnętrznej trudno mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia. Tym bardziej warto to zauważyć, zważywszy na fakt, iż Autor dopiero rozpoczyna swoją karierę naukową.

Konstrukcja pracy, czyli tematyczna zamiast chronologicznej, wydaje się najbardziej sensowna. Dzięki temu książka uniknęła stania się zwykłą kroniką wypadków, a stanowi nie tylko krytyczną pracę analityczną, lecz także generalnie konkretne rozdziały i części są ze sobą logicznie powiązane.

Jak już wspomniałem, Michał Gniadek-Zieliński pisze o NSZ z pozycji prawicowych i narodowych. Wbrew pozorom jednak nie wpływa to negatywnie, lecz – jak się wydaje – właśnie pozytywnie na ogólny poziom pracy. Najwyraźniej bowiem Autor „podskórną” niejako czuje, które elementy działalności, programu etc. NSZ trzeba uwypuklić, na co zwrócić uwagę. Wydaje się też, że dobrze wnika w mentalność i psychikę osób tworzących narodową konspirację.

Warto zauważyć, że choć we wstępie pada deklaracja, iż praca ma za zadanie podsumować stan wiedzy o NSZ, to jednak w praktyce charakter książki wykracza dużo dalej. Wiele aspektów historii NSZ zostało tu zrewidowanych, wiele podjęto na nowo lub nawet po raz pierwszy. Autor ewidentnie bez strachu i kompleksów podjął się trudu pisania historii NSZ niejako „od nowa”, co wyszło jego książce bardzo na plus.

Autor we wstępie zaznacza, że książka jego nie jest ostateczną wersją historii NSZ jaka wychodzi spod jego pióra. Sam wręcz apeluje o krytykę, wytykanie błędów, wskazywanie nowych tropów. Widać w samej pracy także, że chwilami (mimo najlepszych chęci) Autor bezradnie rozkłada ręce, próbując ustalić konkretne fakty. Najczęściej dzieje się tak w kwestiach personalnych i strukturalnych. W

części poświęconej właśnie strukturom NSZ bardzo często spotykamy się ze skrótem NN – nieznany, przy tym czy innym stanowisku. Często konkretne rejony działań NSZ czy innych narodowych organizacji konspiracyjnych są „białymi plamami”, które ze względu na brak źródeł, najpewniej nie uda się już zapełnić treścią. Autor sygnalizuje więc, że z powyższych powodów powstanie 2 wydanie jego książki, poprawione i uzupełnione. Postawie takiej tylko musimy przyklasnąć.

W książce jest kilka fragmentów, których znaczenie jest szczególnie duże – to opis działań Brygady Świętokrzyskiej oraz analiza celów wojennych i planów na reformy Polski po wojnie, których autorami były Narodowe Siły Zbrojne. Pierwszy wymieniony rozdział jest napisany w niezwykle wyważony sposób, podobnie jak cała praca pozbawiony górnolotnych stwierdzeń, za to często Autor przy nim odwołuje się do źródeł i sprawnie rekonstruuje szlak Brygady. Przy opisie wizji powojennej Polski jaką miały NSZ dostajemy świetny wgląd w realne cele omawianej organizacji. Interes narodowy, braterstwo Narodów Europy środkowej, gospodarka służąca ludziom a nie kapitałowi, sprawiedliwość społeczna, rozliczenie winnych rozpętania konfliktu – Autor punkt po punkcie wylicza te aspekty, dając tym samym niezwykle skuteczny odpór propagandzie środowisk lewicowo-liberalnych, które w NSZ zazwyczaj widzą rodzimy odpowiedni hitleryzmu.

Oczywiście w tej przysłowiowej beczce miodu musi się znaleźć łyżka dziegiu. O ile książka merytorycznie nie ma właściwie większych wad, błędów etc., o tyle można zauważyć inne elementy, które nieznacznie zaniżają jej ocenę. Po pierwsze i najważniejsze: wprawdzie recenzowana pozycja jest niezwykle rozległa (prawie 550 stron), to jednak ze względu na bardzo dużą wielowątkowość tematu, część zagadnień potraktowana została zdawkowo i w niewyczerpujący sposób. Najbardziej jaskrawo widać to w opisie funkcjonowania NSZ po zakończeniu wojny w 1945 roku, a więc już w warunkach komunistycznej okupacji. Nie ulega

wątpliwości, że Autor skupia się głównie na okresie wojennym, jednak tak obrany temat i jego ujęcie wymagają, aby i ostatnie 2 lata NSZ opisać w ten sam sposób, co poprzedni okres. Być może kolejne wydanie otrzyma poszerzoną część dotyczącą ostatniego rozdziału historii Narodowych Sił Zbrojnych.

Zauważyć też trzeba, że niektóre procesy związane z funkcjonowaniem NSZ, a wcześniej NOW i Związku Jaszczurczego, opisane zostały trochę chaotycznie. Widać to na przykładzie ustępów dotyczących scalenia części narodowej konspiracji z AK w 1942 roku, oraz części NSZ w 1944. Po części zaburzona jest kolejność wydarzeń, brakuje choćby zdawkowych wyjaśnień dotyczących zmian i przekształceń organizacji i struktur, w efekcie czego czytelnik chwilami musi niektórych aspektów domyślać się samemu. Aspekty te opisane są niejako w oderwaniu od siebie i pewnej izolacji, stąd podczas czytania możemy mieć wrażenie niespójności.

Oczywiście, nie utrudnia to w gruncie rzeczy lektury ani nie umniejsza w żaden sposób wartości poznawczej książki, ponadto dotyczy tylko kilku rozdziałów. Jak już wspomniałem głównie tych, gdzie opisane są konkretne procesy, przemiany organizacyjne itp. kwestie. Same działania NSZ i ich walka, stosunki z innymi organizacjami podziemnymi i Rządem, oraz geneza NSZ opisane są pod kątem logiki wyvodu i zrozumiałego ułożenia narracji bez zarzutu.

Wspomniane już powyżej „białe plamy” wynikające z niedostatecznego stanu zachowania źródeł to oczywiście coś, o co trudno mieć jakiegokolwiek pretensje do Autora, jego rzetelności i warsztatu. Wręcz przeciwnie – widać wyraźnie, że gdzie tylko mógł, tam wydobył odpowiednie informacje. Z drugiej jednak strony, jeśli podchodzimy do recenzji obiektywnie, nie możemy nie wspomnieć o tym jako o pewnej wadzie książki. Przy pełnej świadomości, że zapewne wszystkich „NN” nie uda się z tekstu usunąć, mam jednak pewność, że w kolejnym wydaniu będzie ich na pewno mniej.

Te niewielkie uwagi krytyczne nie mogą wpłynąć jednak a ogólną i całościową ocenę recenzowanej pozycji. „Narodowe Siły Zbrojne 1942-1947” to książka, na którą czekaliśmy jako środowisko, to także pozycja, na jaką czekały szerokie rzesze miłośników historii. Wartość naukowa i poznawcza, rzetelność, całościowość wywodu i kompleksowe potraktowanie tematu – wszystko to sprawia, że książka Michała Gniadka-Zielińskiego stanie się z pewnością punktem odniesienia dla kolejnych historyków zajmujących się tematem narodowej konspiracji w czasie ostatniej wojny światowej. Autor mimo żywionej przez siebie ogromnej sympatii i szacunku dla NSZ nie zapomniał nawet na moment o krytycyzmie i wszelkich zasadach warsztatu historyka. Za opracowaną i napisaną przez siebie książkę należy mu ogromny szacunek i wdzięczność, oto bowiem niejako „sztandarowa” dla naszej tradycji organizacja dorobiła się monografii „z prawdziwego zdarzenia”.

Kończąc już recenzję pokuszę się o coś, czego zazwyczaj unikam przy recenzjach, mianowicie o ocenę punktową. Biorąc pod uwagę wszystkie zalety i wady, mocne i słabe strony oraz wymogi stawiane takiej pozycji, moja końcowa ocena to 8,5/10.

Grzegorz Ćwik

Miłosz Jezierski – „Wywiad z Tors Vrede”



Witaj Jonas! Tors Vrede gra już wiele lat, jednak nadal nie jest zbyt znaną kapela w Polsce. Jednak od pewnego czasu sprawy mają się już lepiej, mógłbyś przedstawić swoją kapele naszym czytelnikom?

Witaj! Oczywiście. Tors Vrede powstało w Sztokholmie w 2001 roku, więc istniejemy już 16 lat. Nie jesteśmy jednak zbyt dobrzy w wydawaniu albumów <śmiech>. Raczej skupiamy się na graniu koncertów. Jednak pierwszy gig poza Szwecją zdarzył się nam w listopadzie zeszłego roku w Milanie we Włoszech. Ostatnio zagraliśmy w Polsce na Festiwalu Orle Gniazdo. I mam nadzieję, że powrócimy do waszego kraju wkrótce!

Wasz pierwszy album to split z Fyrdungiem (album Budkavlen), czy oni jako legenda szwedzkiej sceny byli waszą inspiracją? To co gracie można wszak nazwać vikingrockiem, ale może Ty powiesz mi coś więcej o waszym stylu i inspiracjach muzycznych.

Myślę, że nazwanie tego jako vikingarock (szwedzkie określenie) nie jest złe, ale nasze teksty są już zaangażowane politycznie. Szwedzka scena vikingrockowa oscyluje lirycznie wokół tematów historycznych czy romantycznie skupiając się na szwedzkiej mentalności lub pięknie naszego kraju, ale to pewnie wiesz. Budkavlen zawiera masę inspiracji dawną muzyką nordycką i oczywiście

klasyfikować to można jako vikingrock. Jeżeli chodzi o dalsze wpływy muzyczne to nie możemy pominąć Ultimy Thule, wszyscy z nas, gdy byli młodzi wsłuchiwali się w UT. Poza tym słuchamy wielu nurtów muzycznych i czerpiemy z całej gamy sceny RAC, mainstreamowego punka, rocka i metalu.

Co możesz powiedzieć o dzisiejszej szwedzkiej scenie, w przeszłości była dość znacząca w Europie.

Poziom podnosi się i opada, jak zwykle, ale oczywiście nie zapominajmy, że scena nie jest już tak duża jak bywała w latach 90. Jednak myślę, że się odradza. W tej chwili nie mamy więcej jak cztery zespoły grające aktywnie, jednak organizatorzy koncertów się obudzili i mamy więcej muzycznych wydarzeń niż w przeszłości co może zaowocować pojawianiem się nowych kapel.

Jakie są twoje inspiracje ideowe? Wiemy, że jako nacjonałści odwołujecie się często do szwedzkich przedwojennych narodowych socjalistów. Jednak co z dzisiejszymi prądami ideowymi w Europie, jesteście na jakichś skupieni Na tyle, na ile poznałem Wasze teksty promujecie paneuropejska wizje sojuszu białych narodów.

Sojusz krajów europejskich to z pewnością dobra rzecz. Jednak nie w tak obrzydliwej formie jaka przyjmuje Unia Europejska. Zwracamy uwagę na to, że biała rasa jest atakowana! Musimy więc się zjednoczyć i pomóc sobie nawzajem w oporze. W zespole różnimy się pogładowo w wielu kwestiach, jednak wspólnym mianownikiem zostaje etniczny nacjonalizm. Jeżeli chodzi o mnie jestem członkiem Nordyckiego Ruchu Oporu, organizacji narodowo socjalistycznej działającej na Północy

Widziałem na internecie składankę poświęconą ofiarom katyńskim, jak też wiem, że lubisz Polskę i graliście tutaj dwa razy. Co możesz powiedzieć o naszej scenie?

Widziałeś fizyczny album czy tylko wirtualny? No właśnie my nie <śmiech>. Wysłaliśmy koleśowi kawalek i nagle typ zniknął. Nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy. Szczerze, nie mam zbyt dużej wiedzy odnośnie polskiej sceny, jednak znamy dobrze kapele takie jak Konkwista 88 czy Obłąd.

Większość z Was gra w innym projekcie, pełnym energii punkrockowym Wafflor Wafflen. Co możesz powiedzieć o tej kapeli? Myślisz nad kolejnymi projektami?

Wafflor Wafflen jak już wspomniałeś jest i będzie energetycznym punkrockowym składem. Prosty jasny przekaz, antysystemowy kopniak w ryj syjonistom. Gram jeszcze na bębnach w Endless Pride, niedługo wchodzimy do studia nagrywać i wypuścimy album aby uczcić 15 lecie istnienia kapeli.

Jakie są Twoje przemyślenia na temat politycznej sytuacji w Szwecji? Twój kraj można nazwać Kalifornią Europy, najbardziej liberalny i lewicowy zakątek Starego Kontynentu. Myślisz, że istnieje opór, który uchroni Szwedów przed totalnym upadkiem?

Tak, Szwecja jest w tym momencie mocno spierdolona. Szkoła Frankfurcka inspirująca marksistów trzyma mój kraj w swoich szponach. Na szczęście wieją wiatry zmian. Sukcesy Szwedzkich Demokratów sprawiły, że zapanowała odwilż w publicznej debacie i ludzie stali się podejrzliwi wobec poczynań rządu oraz szukają radykalniejszych alternatyw. Jestem przekonany, że niedługo dokona się duża zmiana na scenie politycznej. Ludzie są jak owce i kiedy nacjonaści zaczną nadawać ton, podążą za nimi.

Graliście dwa razy w Polsce. Wasza kapela staje się tu rozpoznawalna. Jakie masz odczucia co do naszego kraju, koncertów, które zagraliście i ruchu nacjonalistycznego?

Tak, ostatnim był FOG, to było wspaniałe. Organizacja była bardzo dobra, a publiczność, co z zaskoczeniem odkryliśmy, dobrze na nas zareagowała. Było wielką przyjemnością tam zagrać, z pewnością wrócimy na festiwal, nawet jeżeli nie jako zespół to jako goście. Polska to piękny kraj, ja z moją żoną spędziłem miesiąc miodowy w Krakowie w zeszłym roku. Teraz przyjechaliśmy tu znów na kilka dni przed festiwalem. Mili ludzie, świetna kuchnia, piwo... i oczywiście nie ma imigrantów.

Ave Victoria jako album ma już kilka lat, możemy spodziewać się nowego wkrótce? Pracujecie też z nowym materiałem? Macie plany na przyszłość?

Wkrótce zaczynamy prace nad nowym materiałem, jednak nie spodziewajcie się pełnego albumu za szybko. Pracujemy wolno, krok po kroczku <śmiech> Z obecnym składem gramy dopiero od roku, więc musimy się najpierw dobrze poznać. Mam nadzieję, że nowy materiał powstanie w przeciągu najbliższych pięciu lat <śmiech> Jednak z pewnością będziemy grać dużo koncertów w międzyczasie.

Dzięki za poświęcony czas, może chcialbyś powiedzieć coś od siebie naszym czytelnikom?

Dziękuję! Biali ludzie zjednoczcie się przeciwko globalizmowi, syjonizmowi i oczywiście jebać Unie Europejską!

Marta Niemczyk – „Wędrowne Ptaki” – powrót do natury ruchu Wandervogel”



Zwani niefortunnie prekursorami hippisów, stanowili syntezę buntu przeciw nowoczesności, konwenansom i mieszczańskiej moralności łącząc umiłowanie wolności z samodyscypliną, zachwytem nad naturą, ludowością i patriotyzmem. Widok młodzieży szkolnej – chłopców w luźnych koszulach i krótkich spodenkach, dziewcząt bez sztywnych gorsetów, maszerujących wspólnie, z własnej inicjatywy i bez nadzoru dorosłych, pozdrawiających się wzajemnie okrzykiem „Hail!”, na przełomie XIX i XX wieku musiał budzić sensację.

„Łączeni czasami z niemiecką „rewolucją konserwatywną”, uczestnicy ruchu vogelwanderer ze swoimi postulatami powrotu do natury, zajmowaniem opuszczonych gospodarstw wiejskich na potrzeby wspólnoty (by nie napisać – komuny!) jak ułał pasują do prekursorów ruchu hippisowskiego i ekologicznego, zarazem.” – tak o ruchu „Wandervogel” (niem. Wędrowny Ptak) pisze politolog Bogdan Pliszka. Trudno uznać za „przodków” hippisów przedstawicieli ruchu, który podkreślał rolę samodoskonalenia, dyscypliny i pokonywania własnych

słabości. To samodzielność i hart ducha miały stanowić o ich niezależności od dorosłych. Prócz pieszych wędrówek, zaczęto wspólnie ćwiczyć gimnastykę, stroniono od alkoholu i tytoniu, propagowano zdrową żywność, niektórzy byli wegetarianami. Jeszcze mniej wspólnego z hippisami ma ruch promujący wstrzemięźliwość seksualną we własnych szeregach.

Pod koniec XIX wieku, w podberlińskiej miejscowości Steglitz (obecnie dzielnica Berlina), student Hermann Hoffmann zaproponował pomysł organizowania pieszych wycieczek uczniów miejscowego gimnazjum – za wiedzą i zgodą rodziców oraz dyrekcji szkoły. Wędrówki nie należały wcale do łatwych, miały na celu wyrobienie charakteru i wytrzymałości, począwszy od wiejskich okolic Berlina, coraz dalej w Sudety, aż po Las Bawarski. Dopiero w 1901 roku, absolwent tego samego gimnazjum, student Karl Fischer nadał inicjatywie ramy formalne. Tak powstało stowarzyszenie **Wędrowny Ptak. Komitet na Rzecz Wycieczek Uczniowskich** (*Wandervogel. Ausschuss für Schülerfahrten*). Idea ruchu prędko rozprzestrzeniła się po całym kraju, do 1914 roku skupiając ok. 25 tys. członków w większości dużych niemieckich miast, a nawet poza granicami kraju, wśród niemieckiej młodzieży we Lwowie, Oslo, czy w Londynie.

Wandervogel zrodziły się jako inicjatywa stricte młodzieżowa, podkreślająca wagę koleżeństwa, wzajemnego szacunku, szczerości i bezpośredniości w relacjach między członkami. Biedniejsi mogli liczyć na pomoc finansową bogatszych kolegów. Przywódcy, którzy ukończyli 18, a później 20 rok życia, musieli ustąpić młodszym. Większość „wędrownych ptaków” stanowiła młodzież mieszczańska: uczniowie szkół średnich i studenci, synowie urzędników, kupców, przemysłowców, pastorów. Znużeni skostniałymi normami społecznymi ogłosili bunt przeciw nowoczesnemu światu pozbawionemu autentyczności. U podstaw „rewolty” leżało odrzucenie przez młode pokolenie miejskiego stylu życia, materializmu i ciasnego konserwatyizmu. Upragnionej wolności upatrywano w powrocie do natury. Wędrówki bez rodziców i nauczycieli były

formą wyzwolenia od sztywnych norm, czego wyrazem był choćby niezobowiązujący strój: koszule, krótkie spodenki i sandały. Niektórym grupom nie był obcy naturyzm. Alkohole, palenie podczas wycieczek były zabronione, o seksie nie wspominając. Stawiano na ćwiczenia fizyczne, rozwijanie sprawności i wytrzymałości, dyscyplinę i zdrowy styl życia.

Patriotyzm stanowił integralną część ruchu Wędrownych Praków. Podkreślano dążenie do stworzenia nowego ładu, pogłębianie „niemieckości”. Pomoc w tym miał kult rodzimej przyrody, chętnie czerpano z mitologii germańskiej i tradycji ludowych. Pasją było odszukiwanie starych melodii, tekstów pieśni ludowych, figur i kroków tańców ludowych, a także wymyślanie nowych. W 1904 roku ukazało się pierwsze wydanie miesięcznika „Wandervogel Illustrierte Monatsschrift”, w którym publikowano relacje z wycieczek, opowiadania, piosenki, rysunki, dowcipy. Na noclegi, prócz namiotu chętnie wybierano stodoły i wiejskie chaty, bazę dla ich wypadów (tzw. gniazda) stanowiły często opuszczone cegielnie, młyny itd. Kwestią dyskusyjną najczęściej zależną od lokalnych układów pozostawało przyjmowanie młodzieży żydowskiej. Poszechna była na ogół niechęć. Zdarzało się, że Żydzi zakładali swoje oddzielne koła, zwane niebiesko-białymi.

Początkowo przyjmowano wyłącznie chłopców. Od 1905 roku, nie bez oporów zaczęto przyjmować dziewczęta, jednak wędrowki wciąż odbywały się osobno – te wspólne należały do rzadkości i wymagały zgody rodziców, nauczycieli i władz stowarzyszenia, zarówno lokalnych jak i krajowych. Trudno się dziwić, że rodzice z rezerwą podchodzili do leśnych wędrowek swoich nastoletnich córek z noclegiem na sianie lub w namiocie, w towarzystwie płci męskiej. Jednak o seksie nie mogło być mowy. Chłopcy czuli się odpowiedzialni za dziewczęta, przyjmując rolę ich opiekunów: *„Z powodu tej własnie wolności, czuliśmy się zobowiązani wobec dziewcząt.”* Wygodniejszy strój, odrzucenie fiszbin i gorsetów było swego rodzaju wyzwoleniem. Na wzrost udziału dziewcząt w

organizacji niewątpliwie wpłynął również wybuch I wojny światowej i odpływ młodych mężczyzn na front. Część z tych, którzy powrócili po wojnie, ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że kobiet jest wręcz za dużo, żądając ich usunięcia z grup mieszanych.



Pierwszy rozłam w organizacji nastąpił już w 1904 roku. Powodem było przywództwo. Karl Fischer z dotychczas spontanicznego, pozbawionego ścisłej hierarchii ruchu, chciał przekształcić go w ściśle spherarchizowany (z nim na czele) ingerując w lokalne struktury, wymagając od nowych członków składania przysięgi na wierność. Fisher odszedł z organizacji, zakładając osobną grupę o nazwie „**Alt-Wandervögel**” (*Stare Wędrownie Ptaki*), prędko zresztą odszedł z formacji wskutek tarć wewnątrz, wstąpił do wojska, trafił do niemieckiej kolonii w Chinach, skąd powrócił z japońskiej niewoli w 1920 roku. W 1907 roku doszło do kolejnego podziału, tym razem na tle różnic w podejściu do kwestii picia alkoholu, palenia tytoniu i... obecności dziewcząt w organizacji. Tak wyłoniła się kolejna grupa „**Wandervögel. Deutscher Bund für Jugendwandern**” (*Wędrownie Ptaki. Niemiecki Związek Wędrówek Młodzieżowych*), która prędko zaczęła cieszyć się większym powodzeniem niż „bratnie” formacje. Odróżniała się od nich kategorycznym zakazem picia alkoholu, znaczną autonomią lokalnych struktur oraz chętnym przyjmowaniem dziewcząt i organizacją „koedukacyjnych” wycieczek. Wkrótce wyłoniła się również kultywująca stare

tradycje grupa „**Jung Wandervögel**” (1910) oraz zreformowana „**Nerother Wanadervögel**”.

Duża popularność wiązała się z również krytyką, spowodowaną najczęściej zbyt wielką – w opinii polityków i duchownych – autonomią młodych. Niemalę poruszenie wywołała publikacja (Fenomeny erotyczne w „Ruchu Wędrownych Ptaków) psychologa Hansa Blühera, w której doszukiwał się erotycznej więzi rzekomo łączącej młodszych członków WV z przewodzącymi im starszymi kolegami. Jego zdaniem, niechęć wobec udziału dziewcząt miała dowodzić homoseksualnego charakteru ruchu. Dowodem miał być cytat anonimowego członka WV jakoby „*każda udana wyprawa była miłosną przygodą*”. Warto dodać, że Blüher – zagożały przeciwnik sufrażystek – sam był swego czasu członkiem WV, znanym ze sprzeciwu wobec członkostwa dziewcząt oraz ich udziału we wspólnych wyprawach.

O ile przed I wojną światową ruch był apolityczny, o tyle po wojnie zaczął zarysowywać się coraz bardziej wyraźny podział na młodzież socjalistyczną, a nacjonalistyczną. W 1926 roku niektóre koła organizacji połączyły się z harcerstwem tworząc „Wandervogel und Pfandfinder” (Wędrowne Ptaki i Harcerze). Wobec rosnącej popularności nazizmu, ruchy młodzieżowe – ze swoją spontanicznością, niechęcią wobec konwenansów i zewnętrznej kontroli – nie wpisywały się w wizję nazistowskiego państwa. Ich miejsce zajęło wkrótce Hitler-Jugend. W ulotce z 19 sierpnia 1933 roku w sprawie schronisk młodzieżowych, kierowanej do wszystkich szkół Berlina i Prowincji Brandenburskiej, w nagłówku umieszczono fragment „Mein Kampf”: *Państwo narodowe musi zadbać przede wszystkim o to, aby nie wychować generacji piecuchów.*

Biorąc pod uwagę, że Wędrowne Ptaki do dziś uznawane są za pionierów skautingu, poprzedników Hitlerjugend, a nawet prekursorów ruchu

hippisowskiego i ekologicznego, ich wpływ na kształtowanie młodego pokolenia musiał być znaczący.

Marta Niemczyk

Tomasz Kosiński – „Bernhard (Paul) Strasser – trzeci z braci Strasser”



Hasło „bracia Strasser” bardzo często przywołuje skojarzenie z działalnością Ottona i Gregora Strasserów. Z ich walką o lewicowy charakter narodowego socjalizmu, działalnością Czarnego Frontu, czy też zabójstwem starszego z braci w „Noc długich noży”. Bardzo często pomija się drugiego z piątki rodzeństwa Strasserów – Bernharda. Zawsze w cieniu braci, wspierający potrzebujących, zwalczający rasistowski nazizm. To dzięki niemu rodzina przebywającego na emigracji Ottona mogła kontaktować się z ojcem oraz miała zapewnione środki na przeżycie.

Paul Strasser urodził się 21 marca 1895 roku w Windsheim we Frankonii. W marcu 1915 roku wyruszył na front I wojny światowej. Podobnie jak Otto i Gregor został artylerzystą i walczył na froncie zachodnim. Został ranny. Po zakończeniu konfliktu wybrał drogę duchownego, aby w ten sposób pomagać zagubionej młodzieży, która wróciła do domów i nie posiadała żadnych perspektyw na przyszłość. W 1919 roku wstąpił do zakonu benedyktyńskiego w miejscowości Metten w Bawarii. Przyjął imię zakonne „Bernhard”. Podjął studia teologiczne na uniwersytecie w Monachium a następnie w Wurzburgu. W 1923 roku został

wyświęcony na księdza. Od 1924 roku pełnił rolę duszpasterza w internatach dla młodzieży.

W tym czasie jego bracia rozpoczynali polityczną karierę. Gregor brał udział w puczu monachijskim, a Otton ugruntowywał swoje antykapitalistyczne i narodowe poglądy. Bernhard uważnie przyglądał się rozwojowi sytuacji w Niemczech, szybko zauważył, że partii grozi rozłam. Wspomina tamte czasy: *Każdy, kto przejrzy dawne numery wcześniej wspomnianych tytułów prasowych – tak samo jak książki oraz inne publikacje „Kampf Verlag” wydane między 1926 a 1930 rokiem znajdzie dowód na „historyczną walkę” (cytując dr. Stroeckera) podjętą przez moich braci wydaną hitleryzmowi, aby wprowadzić w NSDAP idee Moellera van den Brucka, Naumanna i Masaryka... .* Wraz z rozłamem w NSDAP i dojściu do władzy Adolfa Hitlera, Bernhard Strassera zaczęły obserwować niemieckie służby. Od 1933 roku Otton przebywał na emigracji, w 1934 roku zamordowano Gregora. W 1935 roku Bernhard Strasser prowadził wielkanocną pielgrzymkę do Rzymu. Zatrzymała się w Konstancji, aby odpocząć przed dalszą podróżą. Uczestnicy zostali napadnięci przez nazistowską bojówkę, pobici i okradzeni. Gestapo dokładnie wiedziało, jacy księża prowadzą pielgrzymkę i kto bierze w niej udział. Bernhard Strasser czuł się osaczony, jego brat prowadził w dalszym ciągu kampanię antyhitlerowską.

W lipcu 1935 roku postanowił udać się na emigrację. Droga wiodła przez Austrię, Francję i Szwajcarię aż do opactwa benedyktynów w Luksemburgu. Następnie, tuż przed wybuchem wojny udał się do Belgii oraz spotkał się z Ottonem w Paryżu. Umknął obławie gestapo i przedostał się do opactwa w Portugalii. Jesienią 1940 roku wyemigrował do USA. W opactwie benedyktyńskim w Minnesocie objął funkcję nauczyciela. W tym czasie do Kanady przybył Otton Strasser. Warto zauważyć, iż naziści wiedząc o tym, iż rodzina Ottona została w Szwajcarii bez środków do życia oferowali przywódcy Czarnego Frontu 400 tys. franków szwajcarskich za zaprzestanie walki. Bernhard Strasser wspomina:

Interesujące jest to, iż Himmler, który poprzez szwajcarskiego konsula miał złożyć tę ofertę był skrajnie sceptyczny co do jej przyjęcia. Powiedział do Hitlera: Otton nigdy na to nie przystanie! Hitler odrzekł: Możliwe, że nie, ale żona wpłynie na zmianę tej decyzji. Pomyśl, jak bardzo chciałaby posiadać willę nad Jeziorem Genewskim...- to tylko pokazało, jak niewiele Hitler wiedział o żonie Ottona. Bracia pozostawali w ciągłym kontakcie. Bernhard był zwolennikiem idei Ottona dotyczącej powołania europejskiej federacji, która miała służyć budowie Europy Narodów jako trzeciej siły w światowej polityce (oprócz USA i ZSRS). Uważał, iż idea europejskiej współpracy, która opisał jego brat, pokrywa się z założeniami chrześcijaństwa. Dostrzegał w niej inspiracje ideami encyklik papieskich (m.in. Quadragesimo Anno).

Po zakończeniu II wojny światowej Bernhard Strasser starał się pomagać rodzinie Ottona, która znajdowała się trudnej sytuacji materialnej. Przyjeżdżał do Europy starał się w miarę możliwości zastąpić dzieciom brata ich ojca. Syn Ottona w swoich wspomnieniach pisze, iż dzięki wujowi zobaczył wiele zabytkowych budowli sakralnych, dzieł sztuki, a także miał okazję chodzić do kina. Odbył z wujem podróż do St. Iddaburga, do kaplicy św. Idy z Toggenburga, którą syn Strassera obrał za swą patronkę. Aż do swojej śmierci w 1981 roku w Norfolk Bernhard Strasser pozostawał w kontakcie z bratem i jego rodziną.

Na podstawie:

Institut für Zeitgeschichte ZS-1822-1

G. Strasser, „Erinnerungen” (maszynopis w posiadaniu autora)

Marek Kubiński – „Festiwal Orle Gniazdo 2017 – relacja i refleksje”



Można by powiedzieć, że Festiwal Orle Gniazdo zadomowił się już na dobre w kalendarzu „impres narodowych” w Polsce. Jest to, bądź co bądź, największe wydarzenie związane z szeroko pojętą muzyką tożsamościową w kraju, nic więc dziwnego, że cieszy się on rosnącą popularnością. Nie mogło na nim zabraknąć również przedstawicieli *Szturmu*, będącego patronem medialnym tegorocznej edycji.

Pierwsi festiwalowicze zaczęli zjeżdżać się już od rana w piątek 14 lipca. Niestety nie obserwowałem samego początku wydarzenia, ponieważ ekipę, z którą jechałem spotkały problemy drogowe i do Kępy koło Żytna dojechaliliśmy dopiero wieczorem. Wycieczkę urozmaiciła nam kontrola dokumentów przez policję

państwową. Dla uczciwości należy jednak dodać, że w tej kwestii następuje dobra zmiana, ponieważ z roku na rok zachowanie funkcjonariuszy jest coraz przyjazne i kolejne edycje Festiwalu są już pozbawione sytuacji w rodzaju przelotu policyjnego helikoptera nad obszarem imprezy. Po dotarciu na miejsce można było rozbić namiot w specjalnej strefie i spokojnie udać się na teren wydarzenia. Tam uczestnicy mieli możliwość kupienia czegoś do jedzenia, przejścia się po stoiskach z płytami tożsamościowych zespołów i „zaangażowaną odzieżą”, a także poszukania czegoś dla siebie spośród szerokiego wyboru książek i czasopism. Nie zapominajmy, że FOG to przede wszystkim muzyka. Niestety, nie było mi dane uczestniczyć w koncercie rockowego zespołu Wróg, który według uczestników był bardzo udany, a kiedy wreszcie dojechaliśmy na parking, z namiotu pobrzmiwały ostatnie echa występu rapera Bujaka, świetnie przyjętego przez publiczność. Pierwszym zespołem zagranicznym, który zagrał na tegorocznej edycji, był szwedzki Tors Vrede. Muzycy zaprezentowali najwyższy poziom, wykonując zarówno swoje autorskie utwory, jak covery klasyków sceny RAC. Następnie wystąpił polski Legion Twierdzy Wrocław, który od pięciu lat podbija europejską scenę hatecore. Tym razem zaprezentowali zarówno swoje stare kawałki, jak „LTW” i „Izotop Fałszu 86” i „Moje Opowieści”, a także nowe utwory, jak „Gryź piach!”, czy „Hu ha Antifa”. Uczestnicy bawili się doskonale. Potem przyszedł czas na gości z Węgier, mianowicie na Romantikus Eroszak, który porwał publiczność folk rockowym brzmieniem. Występem wieczoru, przynajmniej w moim odczuciu, był koncert starego, dobrego Irydiona, który zagościł na festiwalowej scenie pierwszy raz po trzyletniej przerwie. Artyści od razu złapali doskonały kontakt z publicznością serwowanymi co chwila rubasznymi i autoironicznymi żartami, a muzycznie zaprezentowali genialny poziom, grając utwory ze swoich obu albumów, a także covery Legionu i Ramzes & the Hooligans. Ekipa z Brzegu zeszła ze sceny o drugiej w nocy, więc coraz więcej ludzi wracało do swoich namiotów, żeby zregenerować się przed następnym dniem. Dla najwytrwalszych zagrał jeszcze fiński Marder.

Organizatorzy przewidzieli na drugi dzień festiwalu liczne atrakcje dla uczestników. Można było m.in. wziąć udział w konkurencjach siłowych i piłkarskich, a także postrzelać z broni. Przewidziano także zorganizowane zabawy dla najmłodszych. Znaczna część festiwalowiczów zaopatrywała się w oddalonym o kilka kilometrów od terenu imprezy sklepie w Kępie, pozwalając właścicielom na zwielokrotnienie swoich obrotów. Koncerty zaczęły się po południu od występu reaktywowanego niedawno zespołu Bastion. Balladowe rytmy nie przyciągnęły co prawda tłumów, ale muzycy lirycznie zaprezentowali świetny poziom, poruszając takie kwestie, jak relatywizm moralny i tożsamość współczesnego człowieka. Radykalną zmianę klimatu przyniósł czeski Intollerant, który pomimo krótkiego stażu pokazał się od jak najlepszej strony, z mocnym rac'owym przekazem. Po nich na scenie pojawił się szczeciński zespół Gan, który w rockowej formie zagrał po kilka starych i nowych kawałków. Grupa ta nie poprzestaje już tylko i wyłącznie na kwestiach historycznych, coraz częściej nawiązując do tematów politycznych i społecznych, co staje się ich dużym atutem. Potem mogliśmy podziwiać występ zespołu Nordica, z autorskimi utworami oraz licznymi coverami klasyki rodzimej muzyki tożsamościowej, które razem z występującymi śpiewał cały namiot. Wreszcie przyszedł czas na najbardziej oczekiwany przez znaczną część uczestników zespół, czyli włoski KMVII (ex Ultima Frontiera). Namiot wypełnił się po brzegi, kiedy z głośników popłynęły skoczne kawałki w rodzaju „Schiavo della Liberta”, czy bardziej podniosłe jak „Trieste 1953”. Kiedy muzycy chcieli już zejść ze sceny, widownia dosłownie zmusiła ich do zagrania „Rivolty”, jednego z sztandarowych utworów grupy. W czasie koncertu zupełnie zniknęła bariera językowa, ponieważ wielu widzów znała na pamięć słowa piosenek. Następnie na miejsce Włochów pojawili się Niemcy z Kategorii C, goszczący już drugi raz z rzędu na Festiwalu. Zespół przeniósł uczestników w bardziej chuligańskie klimaty współczesnej Republiki Federalnej, gdzie garstka patriotów stawia czoła zarówno islamskiej przemocy, wrogim bojówkom i przegniłym strukturom państwowym. Znalazł się czas na

„szybkie strzały” jak „So sind wir”, a także spokojniejsze ballady w rodzaju „Hooligans gegen Salafisten”. Kiedy, bratając się z uczestnikami imprezy, Niemcy opuszczali scenę, w ich miejsce pojawili się muzycy z All Bandits, którzy dali ostatni występ w starym składzie. Zaprezentowali przy tym wysoki poziom rodzimego stylu oi!, z którego znani są od dawna. Na zakończenie dnia wystąpili jeszcze weterani Rock Against Communism z zespołu Obłąd, przeciągnęli dobrą zabawę do trzeciej nad ranem. Śmiało można nazwać ich liderami polskiej sceny, zarówno ze względu na aktywność, jakość tworzonej muzyki, jak i przez ponad dwudziestoletni staż wykonawców. Kiedy schodzili ze sceny, już niemalże wstawały poranne zorze...

Nie ma co rozwodzić się nad trzecim dniem festiwalu, ponieważ ten ograniczył się już tylko do pakowania i wyjazdów w rodzinne strony. Na koniec podzielę się kilkoma refleksjami, które naszyły mnie na Festiwalu. Po pierwsze, organizatorzy znowu stanęli na wysokości zadania i dzięki nim odbyła się impreza, na której bawiło się co najmniej kilkaset osób, a każdy z uczestników mógł na dwa dni wyrwać się z marazmu współczesnej kultury. To im należą się największe podziękowania. Po drugie, w przerwie pomiędzy dwoma koncertami porozmawiałem przez chwilę z moją znajomą, która żaliła się na to, że impreza z roku na rok staje się coraz mniej klimatyczna i zjeżdżają się na nią ludzie zupełnie niezwiązani ani z szeroko pojętym „środowiskiem”, ani z żadną organizacją i przez to poziom wydarzenia spada. Natomiast moim zdaniem zwiększanie się obecności nowych uczestników jest zjawiskiem jak najbardziej pozytywnym. To świetnie, że imprezy związane z muzyką tożsamościową nie przyciągają tylko garstki skinheadów i „nadkumatych” działaczy. Nie można wykorzystywać zaangażowanych ideologicznie tekstów do przekonywania już przekonanych. W muzyce tożsamościowej właśnie o to powinno chodzić, żeby przekaz docierał do jak najszerszego grona osób i na nie oddziaływał. Żyjemy w czasach wojny kulturowej, kiedy cała twórczość nowoczesnego świata bombarduje

współczesnych ludzi i przekonuje ich, żeby przyjęli styl życia, jaki jest im oferowany. I nagle mamy coraz większe grupy ludzi, którzy zamiast przeerotyzowanych utworów puszcza w domu muzykę Gana albo Obłądu, a potem zabiorą całą rodzinę na Festiwal pośrodku szczerego pola, żeby tej samej muzyki posłuchać na żywo. Tam taki osobnik zakupi wyśmiewaną czasami w środowisku patriotyczną koszulkę i pojedzie w świat opowiadać swoim znajomym o tym, co przeżył na Festiwalu i jak świetnie się tam bawił. Temu służy funkcjonująca już od kilku edycji specjalna strefa namiotowa, gdzie zabronione jest spożywanie alkoholu, rodziny mogą w niej spokojnie odpocząć. Temu służy także organizowanie zabaw dla dzieci ze średniowiecznymi grupami rekonstrukcyjnymi. Taki powinien być odbiór imprez tego typu: wykorzystywanie muzyki jako broni w wojnie ideologicznej. To jest właśnie kontrrewolucja (albo rewolucja) w kulturze! Właśnie w ten sposób wrywa się prawdziwą prawicę z twórczego marazmu i nudy w jaką popadła przed laty. Prawica, która ma rozwijającą się kulturę i jest otwarta na ludzi, staje się o wiele ciekawsza. I dzięki takim inicjatywom jak FOG ruch narodowy staje się ciekawy. Staje się ciekawy przez to, że ma scenę muzyczną, że ma własną prasę internetową i drukowaną. I ten zakres oddziaływania na kulturę należy stale powiększać, żeby atak na liberalno – demokratyczną rzeczywistość stale rósł.

Marek Kubiński

Patryk Płokita – „Mentalność neo-folwarczna”



Każda osobowość ewoluuje. To samo tyczy się charakteru społecznego lub inaczej ujmując - „psychiki zbiorowości”. Dużo mówi się o mentalności postkomunistycznej w Polsce. Współcześnie objawia się ona głównie wśród starszych pracowników Urzędu Skarbowego czy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych albo u Pani w lokalnym osiedlowym sklepie. Obrazują je filmy Barej, na myśl przychodzą sceny z "Misia". Owa osobowość podupada i zamiera. Wpływ na to zapewne ma zmiana pokoleniowa ludzi, którzy „nie znali komuny”. Uśmierca ją też doświadczenie „dzikiego polskiego kapitalizmu” lat 90 XX w. Wydaje się, iż ten osobliwy „dziki wschód ‘90”, a następnie wejście w struktury Unii Europejskiej, to proces kształtowania się nowego charakteru człowieka w Polsce. Użyć tu można pojęcia mentalności „neo-folwarcznej”.

Ten artykuł to rozważania o współczesnym polskim charakterze zbiorowości. To także forma spójnych obserwacji zachowań ludzkich. Oprócz tego to próba luźnej analizy porównawczej. Nie chcę, żeby ten tekst został odebrany jako „pisany pod tezę”. Temat z dziedziny socjologii i szerokiej wiedzy o społeczeństwie może wydać się trudny. W końcu szlachta nie istnieje w „realu” tylko na facebooku „szlachta nie pracuje”. Chłopi nie odprawiają już dawno pańszczyzny. Za komuny pracowali w PGRach w kolektywie, a dzisiaj jako rolnicy mają nowe możliwości.

Najczęściej pracują dla siebie i na eksport. Sprzedają na targu marchewki, buraki, pomidory, a w okresie letnim truskawki czy maliny. Pałacyków nie ma. Zapomniane infrastruktury folwarków zarastają trawą. Część z nich odrestaurowano i przerobiono na muzea, a część z nich to domy weselne. Mieszczaństwo rozrosło pod wpływem zmian technologicznych i cywilizacyjnych. Ostało się duchowieństwo z silną pozycją społeczną. Więc jak można pisać o neo-folwark? Po prostu widać analogię pomiędzy współczesnością a dawnymi czasami przedrozbiorowymi. Widać „Pana” i „podwładnego” w **psychice ludzkiej**.

Warto zobrazować społeczeństwo neo-folwarczne. Zastanawiałem się jak to opisać dobierając odpowiednie terminy i słowa, często posługując się neologizmami. Wytypowałem **trzy luźne zobrazowania**, aby „wejść” w rozważania nad wybraną problematyką. Traktować je trzeba tylko i wyłącznie jako „próbę”, a nie „pewnik” w wybranej przeze mnie tematyce.

Po pierwsze społeczeństwo neo-folwarczne dzieli się na **bogatyh i biednych**. „Bogacze” mają majątki najczęściej z czasów transformacji. Inni dorobili się majątku w czasie „dzikiego polskiego kapitalizmu lat 90”. Biedotą pozostaje każdy, kto nie posiada majątku w postaci firmy, działki, czy innych „bogactw” lub „wpływów” mających znaczenie społeczne np. w mediach czy polityce. Do biedoty zaliczyć trzeba też tych, którzy posiadają mały i skromny majątek, który **nie wnosi nic do ekonomii i gospodarki, albo jest trudny do utrzymania**.

Po drugie na **posiadających i wynajmujących**. Posiadacz to ten, który ma np. firmę, kamienicę, działkę, market. To on rozporządza „swoim biznesem”. Wynajmujący to ten np.: który mieszka i płaci czynsz w kamienicy; właściciel małego sklepu, gdzie płaci wielkie sumy pieniędzy za wynajem lokum; pracownik najemny zbierający maliny; kasjerki w markecie; telemarketer czy inny prekariusz, który „wynajmuje swoje zdolności” za „beznadziejne zarobki”. Są to

osoby, które nie posiadają swojego majątku, albo te, które posiadają „mająteczek” trudny do utrzymania, gdzie więcej z jego powodu jest strat, niż pożytku. **Po trzecie na „będących przy korycie” i na „szarych obywateli”.** „Będący przy korycie” to m.in. polityk, dziennikarz, a nawet może nim być ksiądz. „Będący przy korycie” ma coś do powiedzenia. Liczą się z jego zdaniem w opinii publicznej. Bierze udział w debatach. „Szary obywatel” to **każdy z nas, kto nie ma wpływu na kształtującą się w szerszym spectrum rzeczywistość.**

Po powyższym zobrazowaniu **krystalizuje się nam wizja podziału na „szlachtę” i „chłopstwo”** z dawnego folwarku. Stany jako takie nie funkcjonują w neo-folwarku. Klasy społeczne również ulegają rozmyciu. Wszystko opiera się na kwestii „posiadania” i „nieposiadania” majątku, dzięki któremu mamy szansę kreować rzeczywistość państwową i należeć do jednej lub do drugiej grupy ludzi. **Szlachty rodowej nie ma w społeczeństwie neo-folwarcznym.** Istnieje za to kasta, którą określimy mianem tzw. „szlachty pieniądza” lub „szlachty wpływów”. Aby wejść w ten „stan” musisz mieć spory majątek, którego utrzymanie nie jest dla Ciebie stratne. Podobnie „chłopstwo” nie odprawia pańszczyzny i nie jest przywiązane do ziemi. Wręcz przeciwnie w neo-folwarku mobilność jest bardzo cenna. To co łączy chłopą z folwarku i „neo-chłopa” z neo-folwarku to psychiczne „poddanie” wobec „Pana”. Panem w czasie Rzeczypospolitej Obojga Narodów był król, rodowy szlachcic i duchowny. Jak to będzie wyglądać w neo-folwarcznym społeczeństwie? Najczęściej to pracodawca, może to być właściciel kamienicy, pracownik banku, pracownik służby zdrowia (np. lekarz), kapłan, który bierze pieniądze za sakramenty, czy przedstawiciele władzy państwowej. Ostatnie to odpowiednik „państwowego folwarku”, forma „współczesnej neo-królewskiej”. Będzie to np. pracownik Urzędu Skarbowego, czy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Gdy „neo-chłop” widzi władzę w postaci pieniądza, struktur państwa czy instytucji to czuje do niej respekt i strach wynikający z braku wiedzy na temat prawa. Stawia sobie pytania:

„co mogę, a co nie?” „Co może zrobić Pan, a czego mu nie wolno?”. „Namiestnicy neo-folwarków” tę zależność wykorzystują. „Neo-chłop” bardzo często ma związane ręce i wprowadzany jest przez manipulacje specjalnie w błąd, przez co jest stratny.

Co różni folwark od neo-folwarku? Epicentrum wszelkich działań stały się głównie miasta, a nie ogromne orazy ziemi na polach, przy których budowano pałace. Statusem majątkowym dawniej była ilość posiadanych wsi, teraz wyznacznik statusu jest inny. Na pierwszym miejscu będzie to ilość zgromadzonych funduszy i zarobek w skali roku. Następnie np. ilość posiadanych aut, nieruchomości, działek pod miastem, założonych prosperujących firm, modny ciuch, drogie perfumy, drogie zegarki, biżuteria z najwyższej półki, itd.

Najbogatsi są na szczycie „neo-folwarczej szlachty”. Najbogatszych można określić terminem „neo-magnaterii”. W końcu mają największy wpływ w kreowaniu rzeczywistości. Pompują pieniądze w biznes i inwestycje. Daje im to niewyobrażalne zyski, przez co pomnażają swoje bogactwo. Rzadko się zdarza, żeby ich przodkowie pochodzili z inteligencji czy arystokracji. W końcu jednych i drugich w większości wymordowano podczas okupacji hitlerowskiej, część zginęła z rąk sowieckich oprawców w Katyniu, a później kolejną część dobili w kazamatkach nienawiści siepacze Bieruta i Stalina. Z pochodzenia są najczęściej chłopami i robotnikami, przodkami ważnych dygnitarzy i partyjniaków poprzedniego systemu komunistycznego. Często nie dbają o swoją tradycję. Wstydzą się swojego prawdziwego pochodzenia. Doszukują się w badaniach genologicznych powiązań z dawną szlachtą rodową, aby podbudować swoje ego. Ma to motywy szaleństwa. Czynią to często w nielegalny sposób. Do nich zaliczyć trzeba np. „resortowe dzieci”, zabezpieczone przez rodziców, aby weszli w nową rzeczywistość III RP. Istnieje w tej grupie też druga grupa. Dorobiła się ona w latach '90. Jej członkowie wpadli w tym okresie na jakiś biznes, który „wypalił”. Zyskali w szybkim tempie dużą sumę pieniędzy inwestując je np. w

wykupywanie działek. Utrzymali status majątkowy na takim poziomie, że nie był on stratny. Pochodzenie tej grupy jest różne. Ich przodkowie mogli np. pochodzić ze strajkujących „solidarnościowców” z czasów PRL-u.

Drugim członem szlachty pozostają politycy w strukturach demo-liberalnego systemu. W jej skład mogą wchodzić bogacze, ale nie muszą. Tworzy się system „partyjniactwa”, który przypomina sposób walki „dwóch rodzin szlacheckich” rodem z „Zemsty” A. Fredry. Na myśl przychodzi mi również luźne porównanie współczesności ze stronnictwami z II poł. XVIII w. Pierwsze z nich to pro-oświeceniowa i robiąca coś dla ogółu „Familia”. Druga to tzw. „Stronnictwo Hetmańskie” mocno konserwatywne, anty-reformacyjne, wspierane finansowo przez Imperium Rosyjskie. „Współczesna Familia” to taki PiS, a „współczesne stronnictwo magnaterii” to takie PO. Jedno i drugie miało sporo do powiedzenia przy wsparciu obcych wpływów, (wtedy była głównie Rosja i Prusy, teraz jest to USA, albo RFN), aczkolwiek nie zrobiło nic większego dla swojego kraju. Ciągłe waśnie i kłótnie szlacheckie w sejmie, prowokacje, walka o wpływy, reformy wojska bez pokrycia, psychiczne oderwanie się od zastanej rzeczywistości to kolejny wspólny obraz mentalności folwarku i neo-folwarku.

Trzecia grupa to nadzorcy korporacji, właściciele średnich firm oraz najwyżsi szefowie większych firm, nad którymi stoi już tylko właściciel, najczęściej neo-magnat. (Trochę to zestawienie może wydać się mocno naciągane). Jak ich można zobrazować? Ostro kombinują jak się dorobić kosztem innych, duża część z nich traktuje pracownika gorzej niż śmiecia, często nie wypłacają oni należnej pensji. Normalna praca „neo-chłopa” zmienia się w wolontariat, a raczej w odrabianie pańszczyzny. Trudno mi to przyrównać do czasów folwarków i demokracji szlacheckiej, jakim „odpowiednikiem” mogliby być. Na myśl przychodzi mi subiektywna myśl, że takim „kimś” mógł być szlachcic, który przez złe kroki w życiu zubożał, stając się odpowiednikiem „szlachty szaraczkowej”, przez co musiał pracować dla magnaterii jako służba albo żołnierz. To porównanie

najsilniej ma racje bytu, kiedy przed oczami mamy „nadzorcę” z korporacji wyzywającego się na podwładnych.

Czwarty człon neo-folwarcznej szlachty i ostatni jaki chciałem tu poruszyć to dziennikarze. Głównie oni, ale i nie tylko. Mogą nimi być też publicyści, celebryci, często mainstreamowi piosenkarze i aktorzy. (Te dwie ostatnie grupy mogą być też neo-magnatami. Jak widać, **podział w „nowej szlachcie” jest bardzo płynny** i zależne jest to od posiadanego majątku. Niektóre podziały mogą się ze sobą łączyć). Skupimy się jednak na przykładzie dziennikarzy. To taki odpowiednik „szlachty szaraczkowej”, która „nie ma nic oprócz szabli”, ale chce coś ugrać w życiu. Dziennikarz to taki „żołnierzyk na sejmik”. Szable zamieniamy na mikrofon albo dyktafon i mamy „żołnierzyka propagandy i słowa”. Uważają się za nie wiadomo kogo, znawcy tematu, piszący paszkwile, aby zyskać więcej plonów w postaci złotych przelanych na konto za dobrze opisany temat, aby był poczytny w dostępnych mediach.

W tym miejscu przejdziemy do szerszych rozważań na temat neo-chłopstwa. Nowe chłopstwo też się dzieli, głównie ze względu na zarobki. Na szczycie tej drabiny stoją Ci, co posiadają mały majątek. Może on być trudny w utrzymaniu, ale nie musi. W czasach nowożytnych byłby to odpowiednik „**kmiecia**”. Ci „neo-kmiecie” nie mają wpływu na tworzenie rzeczywistości państwowej, ale już w sferze lokalnej bywa to różnie. Na drugim miejscu wymienić tutaj trzeba pracowników korporacji i firm, mających status np. „kierownika zmiany”, „menadżera” czy „starszego telemarketera”. To taki dawny „**wytypowany chłop z roli przez nadzorcę, aby zarządzał pracą reszty współziomków**”. Idąc za przykładami „Pana” często mści się na podwładnych. Nie czuje więzi ze swoją grupą społeczną. Chce być lepszy od „swoich”. (Ogólnie neo-chłop ulega mocnej atomizacji, co odróżnia go od chłopca z czasów demokracji szlacheckiej). Podprogowo czuje się oderwany od swojej klasy społecznej. Pręży muskuły by być lepszy. Dąży do tego, aby więcej zarabiać. Bierze więcej zmian w pracy, aby

przypodobać się „Panom”, często kosztem zdrowia psychicznego i fizycznego. Kolejną grupę stanowią prekariusze. Określiłem ich terminem: **„chłopi na wynajem”**. Dorabiają oni na kilku pracach, ze słabymi zarobkami, np. roznoszenie ulotek lub praca na słuchawce. Część z nich to studenci dorabiający do stypendium. Niektórzy z nich zostają po tych studiach i „ciują” dalej. Ostatnia grupa jaką chciałbym poruszyć w tym wątku to **pracownicy budowlani**. Pośród nich dominują wysokoprocentowe trunki. Podobnie jak kiedyś chłop po ciężkiej pracy zawitał do gospody, tak teraz „budowlaniec” musi „gołnąć” po pracy albo w jej trakcie. **Spoleczne przyzwolenie do alkoholu, jako używki, to też spuścizna czasów folwarków, która ewoluowała i przetrwała**. Znamy to pośród znajomych, gdy zapytają: „No ze mną się nie napijesz?”.

Jak zachowują się ludzie w społeczności neo-folwarczej? W relacjach **dominuje pogarda**. Pogarda wobec nieposiadających, którym się „nie udało”, bo się „nie uczyli”, choć studia nie dają gwarancji znalezienia pracy. Tylko pochodzenie z „nowej szlachty” daje możliwość rozwoju. Szlachta pieniądza i wpływów „załatwi ci stanowisko” w strukturach neo-folwarku. Liczą się tu konotacje rodzinne. Ci nieposiadający chcą być lepsi, starają się dorobić i „uciuć” grosz, aby poczuć się lepiej. **Nienawiść i zazdrość** idzie też w drugą stronę: Ci, co nie posiadają nic, albo mają mało, patrzą na ludzi z wyższych sfer z osobliwą dla nich pogardą - patrzą na „snobów”, „frajerów”, „złodziei” itd. Drugą cechą zachowań jest **umiłowanie samowoli i anarchii, a nie państwa i struktur państwowych**. Pojęcie to często mylone jest z wolnością. Tyczy się to neo-chłopstwa i neo-szlachty. Jeśli jeden i drugi będzie miał okazję przekroczenia cienkiej czerwonej linii „dobrego smaku”, aby coś „uzyskać”, albo „pokazać” (najczęściej swojemu niskiemu ego) - to zrobi to. Prześmiewczo określa się takich ludzi „Januszami biznesu”. **„Kombinowanie” to domena polskości**. Ukształtowana przez wieki, począwszy od czasów demokracji szlacheckiej, rozbiory, II RP, II W.Ś. i komunę. Ugrzęzło to w naszej świadomości. (Bardziej

pozytywnym wydźwiękiem tego zjawiska jest stwierdzenie: „Polak potrafi”). Neo-chłopa i neo-szlachcica łączy jeszcze jedna ważna rzecz. Jeśli jedna z osób w kręgu rozpoczyna karierę, wybija się ponad innymi, to zamiast działać w kolektywie i solidarności, „podetnie się jej nogę”. „Wbije jej się nóż w plecy”. Zrobi się to tylko po to, żeby dany „osobnik” został tam gdzie do tej pory był i funkcjonował. Od tak, dla zabawy, pogardy lub nienawiści. Kolejną cechą ważną w mentalności neo-folwarcznej jest utarte myślenie „**bo mi się należy**”, bez względu na przynależność. Wydaje się, iż jest to jedna z niewielu cech, z dawnej zamierającej mentalności post-komunistycznej, która przetrwała i ewoluowała. „Bo mi się należy” stało się integralną częścią nowego charakteru. Słynne PRL-owskie powiedzenie: „czy się stoi, czy się leży, 500 zł się należy” przychodzi na myśl.

Artykuł ten to tylko i wyłącznie próba opisanie charakteru zbiorowości we współczesnej Polsce. Oceniam go jako zjawisko negatywne. Jako nacjonaliści nigdy nie zintegrujemy swojego narodu, jeśli „mentalność neo-folwarczna” będzie się rozwijać i dobrze funkcjonować. Rozwarstwia to ludność żyjącą w Polsce, tworzą się dwie kasty: bogatych i biednych. Te dzielą się na mniejsze „wysepki ludności” w swojej grupie. Naród ma być „spójną tkanką”, a nie oderwaną od rzeczywistości „podzieloną zbieraniną”, gdzie „każdy sobie marchewkę skrobie”. Zarzuca się nam, że potrafimy tylko krytykować, a nie mamy recepty na problemy. Spróbuję przełamać ten schemat. Myślę, iż wyjściem z przytoczonej problematyki to pierwsze małe „zwycięstwo” - świadomość problemu. Świadomość, iż współczesne realia ekonomiczne i sama gospodarka w Polsce nie są skłonne do budowania świadomości obywatelskiej w dobrym słowa tego znaczeniu (kooperacji, kolektywizmu, demokracji bezpośredniej, idei narodowo-solidarystycznej), ale mogą być jakąś podstawą i bazą do takich postaw na przyszłość. Drugą receptą pozostaje „nie dać się wplątać” w zależności bogacz-biedak w codziennym życiu. Trzecia kwestia to znajomość prawa.

Oczywiście nie wszyscy z nas to prawnicy po studiach, aczkolwiek przy obecnych formach przekazu informacji jakim jest chociażby Internet, wydaje mi się, iż możemy znaleźć interpretacje prawa na nurtujące nas sytuacje, w których np. policjant przekracza swoje uprawnienia i wchodzi bez nakazu do naszego domu.

Patryk Płokita

Jakub Siemiątkowski – „Czy odrzucać dialog z Ukraińcami?”



Ośrodki zajmujące się sianiem antyukraińskiej propagandy, bo tak należy nazwać niektóre media, nieraz już potrafiły udowodnić, że pokazywanie prawdy nie leży w ich intencjach. Tym razem ofiarą absurdalnych zarzutów padł czynnie zaangażowany w sprawę polsko-ukraińskiego pojednania reprezentant Korpusu Narodowego na Polskę, Władysław Kowalczyk.

Zacznijmy od początku. 11 lipca na warszawskim Skwerze Wołyńskim, wraz z reprezentantami kilku polskich środowisk narodowych, Kowalczyk złożył kwiaty, oddając hołd ofiarom Rzezi Wołyńskiej. Jak zadeklarował, jego działaniom przyświeca nie tylko chęć uhonorowania ofiar, ale i przeświadczenie, że takie wydarzenia nigdy nie powinny się powtórzyć. Dzień później na portalu Media Narodowe ukazał się wpis pt. „Pułk Azov uczcił kata polskiej ludności na Wołyniu”, w którym nie zająknięto się o powyższej sytuacji. Opisano za to, za portalem Azov.press, jak 10 dni wcześniej Władysław Kowalczyk wystąpił z przemówieniem na uroczystościach ku czci Romana Szuchewycza, dowódcy UPA, jednej z osób odpowiedzialnych za zbrodnie na Polakach. Równolegle, niezawodne jak zawsze Kresy.pl obwieściły światu, że doszło do „manipulacji”,

czego dowodem ma być właśnie udział Kowalczuka w marszu upamiętniającym Szuchewycza, a o czym – jak wspomnieliśmy – pisano na oficjalnych stronach Ruchu Azowskiego.

Na usta ciśnie się pytanie, czy redaktorzy wspomnianego medium znają znaczenie słowa „manipulacja”, a jeśli tak, to czy umieją wskazać, w którym miejscu ona nastąpiła? Przecież, mimo że Ruch Azowski dystansuje się od ślepego naśladownictwa wzorców banderowskich (w sferze ideologicznej odwołując się głównie do zabitego przez banderowców melnykowca Mykoły Sciborskiego), to stosunek tego środowiska do czołowych postaci OUN-B nigdy nie był tajemnicą. Mimo szacunku, jaki budzą one wśród współczesnych nacjonalistów, azowcy – znacznie odważniej niż ogół ukraińskiego środowiska narodowego – starają się zmierzyć także ze zbrodniczą odsłoną działalności UPA, o czym wielokrotnie było w różnych miejscach wspomniane. Z litości pominiemy już antyfaszystowską, godną stowarzyszenia „Nigdy Więcej” gorliwość redaktorów Kresów.pl, którzy uznają za stosowne epatować terminem „neonazizm” w stosunku do azowców (załóżmy – z korzyścią dla nich – że zgłębienie stosunku środowiska politycznego, stanowiącego zaplecze tego ruchu, do narodowego socjalizmu przerasta ich możliwości).

Zajmijmy się tym co w niniejszej sprawie poważne i istotne. Z pewnością istnieją duże różnice w narracjach historycznych polskiej i ukraińskiej. Zapewne w pełni nigdy nie staną się one tożsame, choć z czasem być może nieco się zbliżą. Szerzej starałem się z tym zagadnieniem zmierzyć w artykule „Skąd bierze się kult UPA?”, w 31. numerze pisma „Szturm”, do którego odsyłam zainteresowanych.[1] Poprzestańmy tu na konstatacji oczywistej dla każdego orientującego się w sprawie człowieka: UPA jest na Ukrainie szanowana nie ze względu na zbrodnie na Polakach. Jeśli już, to pomimo ich, choć zagadnienie to daleko bardziej skomplikowane. Dla Ukraińców etos UPA to tradycja wytrwałej, bezkompromisowej walki przeciw sowietom.

W tym kontekście groteskowo wygląda, widoczne w wielu dyskusjach, usilne łapanie za słówka Kowalczuka, mające na celu dowieść, iż nie uważa on Rzezi Wołyńskiej za ludobójstwo, mimo że stwierdzał to kilkakrotnie w różnych miejscach. Z drugiej strony próbuje się dowieść, że stawia on znak równości pomiędzy mordami UPA a akcjami odwetowymi polskiego podziemia, tylko dlatego że miał czelność o nich wspominać, w wyważony zresztą sposób. Niestety autor opublikowanego 17 lipca na Mediach Narodowych wpisu pt. „Władysław

Kowalczuk: Rzeź Wołyńska była bratobójczą wojną” uznał za stosowne nawet z przychylną (!) recenzji filmu „Wołyń”, autorstwa Kowalczuka, wyciągnąć jedynie te sformułowania, które pasowały mu do tezy o dwulicowym banderowcu, bałamucącym Polaków. Absurdalnie brzmi w tym kontekście *lead* artykułu, który przytoczmy w całości: „Przedstawiamy publicznie wyrażane poglądy Władysława Kowalczuka – reprezentanta ukraińskiej partii Korpus Narodowy, powstałej na bazie pułku Azow – na temat Rzezi Wołyńskiej, aby Czytelnicy mogli wyrobić sobie własny pogląd na działalność tej osoby”. I kto tu manipuluje?

Jeśli mowa o użyciu terminu „ludobójstwo” w odniesieniu do polskich akcji odwetowych, to wypada zauważyć, że – jakkolwiek jest to temat bardzo kontrowersyjny – w dość podobnym kierunku idą spostrzeżenia najbardziej uznanego polskiego znawcy tematu, prof. Grzegorza Motyki. Ów naukowiec pisał w swojej znanej książce „Od Rzezi Wołyńskiej do Akcji *Wisła*”, że zapewne niektóre z tych pacyfikacji na takie miano zasługują. Nawet zresztą jeśli tak nie jest („ludobójstwo” jest terminem *stricte* prawniczym), to sprowadzanie publikowanych przez Kowalczuka artykułów do wyciętych z kontekstu zdań, a nawet słów, wygląda żałośnie. Kowalczuk nieraz dawał do zrozumienia, iż jest świadom dysproporcji pomiędzy działaniami obu stron. Można tu w ogóle zapytać, czy w związku z faktem, iż Ukraińcy padali ofiarą polskiego podziemia na ogół w wyniku odwetów, ich potomkowie nie mają dziś prawa do pamięci o 10-15 tys. ukraińskich cywilów (w tym kobiet i dzieci) zabitych przez polskie podziemie. Oczywiście wydaje się, że nie można im tego odmawiać, ani specjalnie uzasadnionym nie jest dziwienie się samemu faktowi, że Ukraińcy przypominają sobie również o swoich zabitych niewinnie rodakach.

Niżej podpisany zna Władysława blisko 3 lata – może nie jest to wiele, ale wystarczająco dużo by poznać dążenia człowieka, z którym wielokrotnie współpracowało się we wspólnej sprawie, nie tylko zresztą na odcinku spraw polsko-ukraińskich. Z drugiej strony, tych kilka lat to zapewne dłużej niż wynosi staż działalności przeciętnego hejtera, który na widok działań podejmowanych przez Kowalczuka obwieszcza, że „z Ukraińcami nie będziemy rozmawiać”. W warszawskim środowisku narodowym nikt rozsądny, z osobami odrzucającymi ideę sojuszu polsko-ukraińskiego włącznie, nie ma wątpliwości, że intencje Władysława są czyste – trudno więc uniknąć pytania, dlaczego akurat niego obrzuca się błotem? Sam nie zgadzam się w niektórych sprawach z Kowalczukiem, niektóre używane przez niego sformułowania wydają mi się

problematyczne, ale kim trzeba być, by za każdym razem dopatrywać się tu podstępów?

Poszlak wskazujących na to, że ktoś chciałby skompromitować akurat jego działania jest przecież немало *vide* wypuszczone przez jeden z tabloidowych profili na Facebooku fałszywki screenów Kowalczuka, w których rzekomo wychwalał on mordy na Polakach, albo pojawiający się co jakiś czas na pomniku ofiar UPA w Gdańsku, kojarzony z Ruchem Azowskim symbol „Idei Nacji”. Być może autorem jest jakiś ukraiński wandal, daleko mi do pełnego negowania takiej ewentualności, pytanie tylko czemu posłużył się akurat symbolem ugrupowania oficjalnie dążącego do poprawy stosunków z Polakami?

Powiedzmy to otwarcie. Niektórym ludziom po prostu nie w smak jest to, że są ukraińscy nacjonałiści, którzy chcą by polsko-ukraiński dialog zastąpił ciągle okazje do dowodzenia, że każdy ukraiński patriota najchętniej rezałby Polaków. Może dla części z nich sam fakt zaistnienia możliwości zmiany podejścia Polaków (czy polskich nacjonalistów) do zjawiska jakim jest odradzający się na Ukrainie nacjonalizm stanowi coś, do czego nie można dopuścić – niezależnie od tego jakie są fakty, niezależnie od tego jakie poglądy na sprawę polską wyznają współcześni ukraińscy nacjonałiści. Zabrakłoby paliwa, na którym można jechać, zyskać czyjeś poparcie (inna rzecz, że ukrainofobom wychodzi to nieudolnie, bo regiony najbardziej Ukrainie niechętnie są przecież bastionami PiS-u, który zdaniem osób wyznających powyższe poglądy, jest „probanderowski”). Logika tworzenia sztucznych problemów nie prowadzi do niczego. Bo trudno mieć wątpliwości, że aberrację stanowi przeświadczenie, iż działalność wyrażającego żal z powodu Rzezi Wołyńskiej Ukraińca jest zagrożeniem.

W innym wypadku można byłoby przecież, zachowując różnice zdań, dyskutować na innym poziomie – bez odrzucania oczywistości, bez sprowadzania sprawy do absurdów. Można by powiedzieć, że stąd tylko krok do kolportowania popularnych niegdyś list ukrytych Żydów, gdyby nie... fakt, że w internecie już od dawna pojawiają się wobec Ukraińców zarzuty daleko niższe niż oskarżenia o trwanie w antypolskiej konspiracji. Przykładowo, niedawno na jednej z brukowych (ale poczytnych) witryn można było przeczytać, że banderowcy składają dziś ofiary z ludzi. Innym razem, sugerowano, że pułk Azow jest jednostką zwalczającą chrześcijaństwo, ponieważ jego żołnierze w jednym z garnizonów postawili posąg słowiańskiego boga wojny Peruna. Daleko mi do rodzimowierstwa, a taki akt jawi mi się w najlepszym razie jako ekscentryczny,

niemniej jednak pobieżne nawet wgłębienie się w zagadnienie wystarczy by stwierdzić, że w samym Azowie jest mnóstwo (zapewne większość) chrześcijan, prawosławnych, grekokatolików, a pewnie i rzymskich katolików. Nie od dziś wiadomo, że najdoskonalsza manipulacja zawiera w sobie ziarno prawdy – historyczny ton często nie ma żadnego uzasadnienia, a mimo to w pisanych w nim jest znaczna część informacji z Ukrainy. Nie wątpię, że często staje się to udziałem ludzi naiwnych czy zdezorientowanych, ale nieraz trudno nie podejrzewać autorów o złą wolę.

A z Ukraińcami rozmawiać trzeba. Czy się nam to podoba czy nie – sprawy takie jak ekshumacje polskich ofiar Rzezi Wołyńskiej, dbanie o dziedzictwo kultury polskiej na Kresach czy sama poprawa bytu ukraińskich Polaków nie mają szans realizacji w warunkach permanentnie podgrzewanego konfliktu polsko-ukraińskiego, opartego w dużej mierze o wzajemnie niezrozumienie priorytetów. Powiedzmy nawet więcej, wobec faktu odgrywania dużej roli przez nacjonalistów (przynajmniej na zachodniej, najbliższej naszym uczuciom, Ukrainie), trudno spodziewać się by chociaż część z tych spraw została należycie rozwiązana bez znalezienia chociaż nici zrozumienia z Ukraińcami określającymi się jako nacjonałiści... mającymi UPA za swoich bohaterów.

Jako nacjonałiści opowiadający się za dialogiem z Ukraińcami – mimo że wysiłki podejmowane przez nas mają zasięg ograniczony – możemy już dziś pochwalić się pewnymi symbolicznymi osiągnięciami. Dzięki naszym środowiskom, oraz dzięki otwartości ze strony części ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, hołd ofiarom Rzezi Wołyńskiej oddali już przedstawiciele środowisk takich jak UNA-UNSO, Kongres Ukraińskich Nacjonalistów czy (dwukrotnie) Ruch Azowski. Być może nie każdy z tych gestów wyglądał w 100 procentach tak jak by sobie tego życzyli co bardziej wymagający polscy narodowcy, ale trzeba mieć zerową wiedzę o poglądach panujących w ostatnich dekadach w łonie ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego na stosunki z Polakami, by nie widzieć tu kroku naprzód. W ciągu kilkunastu lat ruch ten przebył na tym polu bardzo długą drogę – od palenia polskich flag i skuwania tablic na Cmentarzu Orłąt przez UNA-UNSO (warto zestawić to z działaniami azowców w sprawie kamiennych lwów rok temu), przez ciągle zakłócanie obchodów rocznicy 11 lipca, po coraz liczniejsze w ostatnich latach propolskie gesty, ale i działania. Trzeba nie mieć elementarnej wiedzy, albo po prostu za grosz dobrej woli, by nie widzieć tej znaczącej ewolucji. Jeszcze kilkanaście lat temu wśród Ukraińców dominującą postawą była pełna negacja zbrodni UPA na Wołyniu, z czasem – wraz ze wzrostem wiedzy, ale i coraz

bardziej propolską orientacją – pojawiły się tezy o równowadze win po obu stronach. Kiedyś świadomość skali Rzezi Wołynia i Galicji stanie się na Ukrainie faktem, także wśród nacjonalistów. Wymaga to właśnie dialogu, w tym również działań takich jak nasze skromne próby podjęcia trudnych dla Ukrainy tematów. Nie wszystko rozgrywa się pomiędzy rządami państw, duże znaczenie mają nastroje społeczne – mówiąc obrazowo, nawet gdyby rządy w Kijowie i Warszawie dogadały się w sprawie ekshumacji, to chyba lepiej by czynnik społeczny w nich nie przeszkadzał, nie demolował naszych miejsc pamięci, a odnosił się do nich ze zrozumieniem i szacunkiem. Zamykanie się na fakt, że wśród ukraińskich nacjonalistów coraz częstsze są propolskie tendencje, odrzucanie go dla samej zasady jawi się tu jako nonsens.

Jakie więc intencje przyświecają zwolennikom stałej eskalacji sporu polsko-ukraińskiego? Czy faktycznie zależy im na zbliżeniu do branej ciągle na sztandary prawdy historycznej, upowszechnieniu jej także na Ukrainie? Czy może jednak chodzi o to by stale podsycać najniższe fobie, o to by zawsze można było uderzyć w tony o zagrożeniu banderowskim? Podobnie jak wcześniej wypada się zastanowić czy nie chodzi po prostu o mobilizację poparcia – wszak pomysłów w sprawach naprawdę istotnych często brakuje.

Wobec tych czynników, można odnieść wrażenie, że kierunek w jakim zmierzają niektóre środki przekazu jest po prostu niepokojący. Widać to także w sprawach innych niż ukraińska, czego dowodem niech będzie pojawienie się w ostatnich dniach idiotycznego wręcz tekstu, w którym postulowano nie tyle nawet odbicie z rąk litewskich Wilna, co dosłownie wymazanie z mapy państwa litewskiego. Ani to możliwe, ani mądre – po co więc osoba (niewątpliwie merytorycznie przygotowana) takie rzeczy pisze? I po co takie, mogące przecież zaszkodzić naszym rodakom brednie publikować?

Co w ogóle powinno być celem mediów nacjonalistycznych, zapytajmy po raz kolejny w przeciągu ostatnich lat. Kształtowanie nowoczesnej myśli narodowej i upowszechnianie myślenia w kategoriach narodowych czy jedynie podgrzewanie emocji, koncentrowanie uwagi na nieistniejących problemach? Co to ma wspólnego z dobrymi tradycjami endeckiego myślenia o potrzebach narodu? W świecie mediów zapewne nie da się w pełni uniknąć populizmu, ale czy przyświecający naszym publicystom główny cel działania został należycie obrany?

Jakub Siemiątkowski

[1] <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/528-jakub-siemiatkowski-skad-bierze-sie-kult-upa>

Kacper Sikora – „Powtórka z dwudziestolecia międzywojennego? Czy grozi nam wojna domowa?”



Liczne porównania z przeszłością

To co się dzieje ostatnimi czasy, bardzo przypomina mi pewien okres dwudziestolecia międzywojennego. Dlaczego? Już wyjaśniam. W 1923 roku gospodarka II RP się ożywiła, ale równocześnie wpłynęło to na negatywny stan finansów państwa. Panował kryzys, większy niż obecnie. Ale jednak. Dodatkowo atmosferę zagrożenia podsycali protesty, w których uczestniczyły skrajnie lewicowe partie - Komunistyczna Partia Polski oraz jej przybudówki. Dziś jest tak samo jak wtedy jeśli chodzi o finanse i gospodarkę. Zagrożają jednak nie partie lewicowe, a lewackie i skrajnie antypolskie. Do tego wszystkiego przeciwko rządowi zaczynają występować Ukraińcy. Podobieństw jest znacznie więcej.

Ów kryzys demokracji parlamentarnej w Europie rozpoczął się już w latach dwudziestych ubiegłego stulecia. Jeśli chodzi o Polskę to przewrót majowy nastąpił w 1926 roku. Powodów było wiele, gdyż inni przywódcy partii politycznych również jak współcześnie, żądali zmian w Konstytucji i wzmocnienia władzy wykonawczej. Piłsudski po prostu wykorzystał odpowiedni moment i zrobił swoje. Robiąc to dla dobra narodu, a nie tylko i wyłącznie

własnego. Nie brzmi to znajomo? Obywatelski Kukiz'15 domaga się zmian w Konstytucji, w konsekwencji PiS, chcący naśladować sanację i jej mistrza - Józefa Piłsudskiego – poprzez głos Prezydenta wnoszącego o referendum w sprawie Konstytucji w 2018 roku, na te potrzeby odpowiada. Tylko teraz PiS nagle zabiera się za reformę sądownictwa, wprowadzając standardy europejskie i ich wieczny konkurent -Platforma Obywatelska wraz z nieznaną Nowoczesną zaczynają nawoływać do buntu. Nie nabiera to jeszcze rozmiarów zamieszek z 1923 roku ale kto wie... Drugiego przewrotu majowego też jak na razie jeszcze nie ma, lecz nic nie jest pewne. Pytanie czy to będzie Rząd, czy siły antyrządowe... Bo w II RP jeszcze za czasów życia Marszałka wprowadzono w życie ciekawe ustawy, w tym plan Kwiatkowskiego, który w ostateczności, przez wybuch II wojny światowej, nie wszedł w życie...

Dlaczego tak się dzieje i do czego może to doprowadzić

Bardzo mnie zastanawia, dlaczego teraz, a nie wcześniej, ludzie wyszli na ulicę. Tyle afer „wybuchło” za czasów antypolskich rządów PO-PSL, a tylko Nacjonaści dawali im wyraźny sprzeciw. Katastrofa smoleńska owiana była klauzurą milczenia. Władzę w demokratycznych wyborach przejmuje PiS. Próbuje reformować kraj, czasem popełniając błędy, a czasem nie, jednak od samego początku PiS-owi się przeszkadza. Rozumiem robić to po roku, po dwóch latach rządów ale po 2 dniach? Chciano dokończyć późną dekomunizację - źle. Tego nie robi prawdziwa opozycja kierująca się interesem Polaków, tylko ludzie chcący wrócić do władzy. Do tego teraz pod pretekstem reformy sądów, powrotu podstawówek oraz groźby wzrostu podatków, wraz z Ukraińcami nawołują do „polskiego Majdanu”, wprowadzając wrogą stan w polskim narodzie, stan w którym Polacy sami sobie są wilkami, bo jeden jest za PO, a drugi za PiS (nawet jeśli nie głosował za nich podczas wyborów). Szczekają Ci co do wyborów nie poszli, a narzekają. Kiedy pyta się ich o to czemu nie byłeś na wyborach? Odpowiadają „bo nie musiałem”. To może doprowadzić do wojny domowej –

nawet nie zbrojnej, a mentalnej wojny domowej. Tylko kto na tym skorzysta? Niemcy, UE, może Rosja czy USA, bo na pewno nie Polska i Polacy. Wracając na chwilę do Majdanu, jeśli nawet wybuchnie, to zobaczymy - czy coś się zmieniło po Majdanie na Ukrainie? Tylko oligarchowie, doszedł trwający jeszcze konflikt w Donbasie, a oprócz tego ? Nic. Bo gdyby się coś zmieniło, tylu Ukraińców nie przyjeżdżałoby do Polski za pracą. Bądźmy rozsądni. Czas pokaże czy PiS (nasza pseudosanacja) będzie realizować interesy narodu i jakiej transformacji ustrojowej dokona. Nie pozwólmy, aby ogarnęła nasz Naród wojna domowa – mentalna i co gorsza zbrojna...

Kacper Sikora

Paweł Doliński – „Lęk przed Trzecią Droga”



O kapitalizmie nie należy mówić źle. Taka opinia jest dominująca w przestrzeni publicznej. Nie należy to do dobrego tonu. Wszystkie koncepcje i idee antykapitalistyczne, które są odpowiedziami na wyzysk i niesprawiedliwość wysuwane na zachodzie i w Polsce są wyśmiewane lub ignorowane. Szczególnie w państwach młodych, rozwijających się jak nasz. Problem jest szerszy. Otóż w ogóle nie toczą się u nas dysputy aksjologiczne na temat ustroju gospodarczego po 1989 roku.

Co pewien czas któryś z polityków narodowych szczyli się pragmatyzmem, nie rozumiejąc często tego, co mówi. Nadaje swojej wypowiedzi sens inny niż poglądy określane mianem pragmatyzmu. Zazwyczaj nazywa tak swoją zdolność do kompromisów, praktycyzm, a niekiedy koniunkturalizm.

Wielkie spory o wartości powinny były towarzyszyć przemianom 1989 roku. Zamiast tego, wdzięczność za otrzymywane pieniądze z Zachodu oraz tendencje naśladowcze – doprowadziły u nas do kapitalizmu. Mít wolnego rynku, konkurencji, mirażu osiągnięcia dobrobytu w drodze kopiowania neoliberalnych rozwiązań systemowych, zawęziły horyzonty naszych decydentów. Do debat na temat kształtu życia społecznego i gospodarczego nie dopuszczono.

Smutną satysfakcję mogę czerpać z rysującego się krachu - ubóstwionej przez tak wielu polityków - gospodarki neoliberalnej. Okazuje się nagle, że potrzebny jest

interwencjonizm państwowy, planowanie oraz własność państwowa, a więc nie tylko prywatna.

Wiele głosów, by szukać własnych rozwiązań w sferze gospodarki i życia społecznego, by zasiąść do stołu i przeprowadzić ogólnonarodową debatę, zostało zlekceważonych. Jedyne dyskusje jakie się toczyły, dotyczyły jedynie kształtu i formy gospodarki wolnorynkowej, a nie gruntownych zmian i rewolucji ustrojowej w naszym państwie. Sytuację tę można by porównać do tego, co miało miejsce w komunistycznej Polsce. Mam na myśli słynne hasło "Socjalizm tak, wypaczenia nie!". I tak jest obecnie. Kiedy na naszych oczach gospodarki neoliberalne się nie sprawdzają, heroldowie wolnego rynku przekrzykują się, że to co teraz mamy nie jest prawdziwym kapitalizmem, bo kiedyś to był ten słuszny, jedyny, prawdziwy albo dopiero nastanie po kilku zmianach. Do tej pory ten system przyniósł tylko jednym majątek, a innym ubóstwo.

Antykapitalizm jest oceniany jako pogląd radykalny. I słusznie, bo jest poglądem niebezpiecznym dla wielu osób posiadających władzę i pieniądze. Ludzi, którzy utrzymują się z wyzysku klasy robotniczej, zarówno w Polsce jak i na całym świecie. Niestety nurt ten w myśleniu o gospodarce jest mylnie utożsamiany z socjalizmem. Mylnie, gdyż powstało w historii wiele koncepcji ustrojowych społeczno-gospodarczych, które nie miały nic wspólnego z socjalizmem (nie były odmianami socjalizmu), a jednak głównym ich założeniem była praca na rzecz dobra wspólnego, narodu. Długo by wymieniać, ale chociażby włoski faszyzm, portugalski salazaryzm lub argentyński peronizm. Kościół Katolicki również stał twardo w tej kwestii i piętnował postawy liberalne, w gospodarce również. Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris” jednoznacznie stwierdzał, że z prawa naturalnego, na gruncie którego stoi Kościół, wynika prawo każdego człowieka do korzystania z dóbr materialnych. Wyjaśnia on, że określona forma własności, a więc państwowa, prywatna, spółdzielcza – są rezultatem bliższego określenia przez stanowione prawo owego prawa do korzystania z własności w ogóle. Która forma własności ma dominować, o tym decyduje określone państwo w danym czasie, biorąc pod uwagę dobro wspólne.

Trzecia droga lub inaczej terceryzm to system społeczno-gospodarczy, który plasuje się pomiędzy kapitalizmem i socjalizmem. Może czerpać pewne rozwiązania z tych obydwu, które mają pozytywny charakter, jak własność prywatna (kapitalizm) i państwo socjalne (socjalizm). Ale w swym założeniu tworzy zupełnie innym system. Twórcy „trzeciej drogi” wyszli z założenia, iż system kapitalistyczny i socjalistyczny są systemami materialistycznymi prowadzącymi do zniewolenia człowieka, wobec czego warto byłoby stworzyć na ich bazie nowy system, który byłby kompilacją zalet tych idei, przy jednoczesnym wyeliminowaniu ich negatywnych stron.

Nacjoniści powinni wreszcie zrozumieć, że istotne znaczenie ma nie tylko wygranie wyborów lub konsekwentne, oddolne działanie prospołeczne, lecz także rozwijanie i przedstawianie własnych koncepcji nowoczesnego państwa narodowego. Ukształtowana właściwie świadomość narodowo-radykalna w zakresie społeczno-gospodarczym przełoży się na udoskonalenie prawa i w konsekwencji na stosowne przemiany ekonomiczne. Nie przeprowadzona zostanie właściwie rewolucja narodowa bez właściwego i atrakcyjnego dla społeczeństwa programu gospodarczego.

Mówi się dużo w środowisku nacjonalistycznym o korporacjonizmie i dystrybucjonizmie, ale czy te stare systemy są dziś atrakcyjne dla zwykłego człowieka. Czy sprawdzą się w XXI wieku? W dobie globalizacji, nowoczesnych technologii i swobodnego przemieszczania się potrzebne są nowe rozwiązania. Przed nami, nacjonalistami stoi dzisiaj wyzwanie sformułowania i napisania takiego programu społeczno-gospodarczego będącego alternatywą dla systemu neoliberalnego. Może powinno się zaprzestać szukania nowych pomysłów w starych dziełach narodowców polskich i europejskich. Ich koncepcje były tak skonstruowane, by odpowiadały na potrzeby i wyzwania ich czasów.

Kapitalizm jest pojmowany dziś również jako najlepsza forma wolności jednostki. Kompletnie odrzucając prawdę o tym, że człowiek to istota stadna i to dzięki wspólnocie się realizuje. W parze z programami gospodarczymi, które (liczę, że jak najszybciej) nacjoniści zaproponują społeczeństwu, musi iść rewolucja kulturowa. Musi ona zmienić myślenie ludzi, którzy tkwią w

liberalnych kleszczach. Musimy kłaść nacisk na rozwój duchowy, wszechstronny psychiczny, jako wartość, a tę z kolei może zagwarantować nam narodowy radykalizm i trzecia droga. Wartość człowieczeństwa musi być definiowana przez rolę człowieka we wspólnocie. Tylko na tej drodze można ukształtować tę najdoskonalszą formę współistnienia, czyli narodu.

Paweł Doliński

Karolina Ebertowska – „Czym grozi sprzeciwianie się Putinowi, czyli o tym co spotkało członków BARS”



27 maja br. W Kaliningradzie miały miejsce masowe aresztowania członków BARS-u (Балтийский Авангард Русского Сопротивления), a także przewodnika duchowego organizacji - Nikolaja Mamajewa. Wśród aresztowanych znalazł się Aleksander Orszulewicz - długoletni przewodniczący ruchu, inicjator idei nacjonalistycznych w Kaliningradzie, Igor Iwanow- obecny naczelny organizacji. Postaci powyżej wymienione to ofiary tylko i wyłącznie jednego dnia, a warto wspomnieć też o tym, że w historii owego ruchu bywali też inni- zastraszani, niesłusznie oskarżani, niewygodni dla władzy działacze. Z racji tego, że organizacja zrzeszała wielu młodych ludzi, organy władzy próbowały różnymi metodami zniechęcić młodzież do działania. Metody były różne- od szerzenia kłamliwej propagandy poprzez szantaż aż do przekupstwa. Powyższe informacje zaczerpnęłam z rozmów z działaczami, ich doświadczeń i zasłyszanych historii. Nie były to jednokrotne działania, ale bezpośrednia walka z nacjonalizmem na opisywanym terenie.

Powodem, dla którego w więzieniu osadzono członków BARS-u były sfabrykowane dowody- podrzucone szablony z tekstem zawierającym treści ekstremistyczne, które były niezgodne z nowoprzyjętą ustawą. Takie rzeczy służby specjalne „znalazły” w domach aresztowanych.

Źródła donoszą, że Aleksander Orszulewicz został poddany nieludzkim metodom traktowania, na co wskazuje chociażby złamany nos czy posiniaczone ciało. Na kilka miesięcy przed zatrzymaniem, był przewodniczący na prośbę prokuratury odszedł z organizacji, ale to nie wystarczyło. Władza usilnie pragnie osadzić go w więzieniu, nie zważając na to, że ma on na utrzymaniu żonę i czwórkę dzieci.

Tak jak wcześniej wspomniałam, władzy nie obchodzi to, że rodzina Aleksandra Orszulewicza musi sobie radzić teraz bez głównego żywiciela. Jeżeli ktoś

chciałby wspomóc zatrzymanych w tych trudnych chwilach, to na na fejsbukowym profilu Wandy Orszulewiczpojawiła się informacja o tym, jak można takiej pomocy udzielić:

1) Poprzez wpłaty na konto żony Aleksandra Orszulewicza:
5469 2000 1376 7057

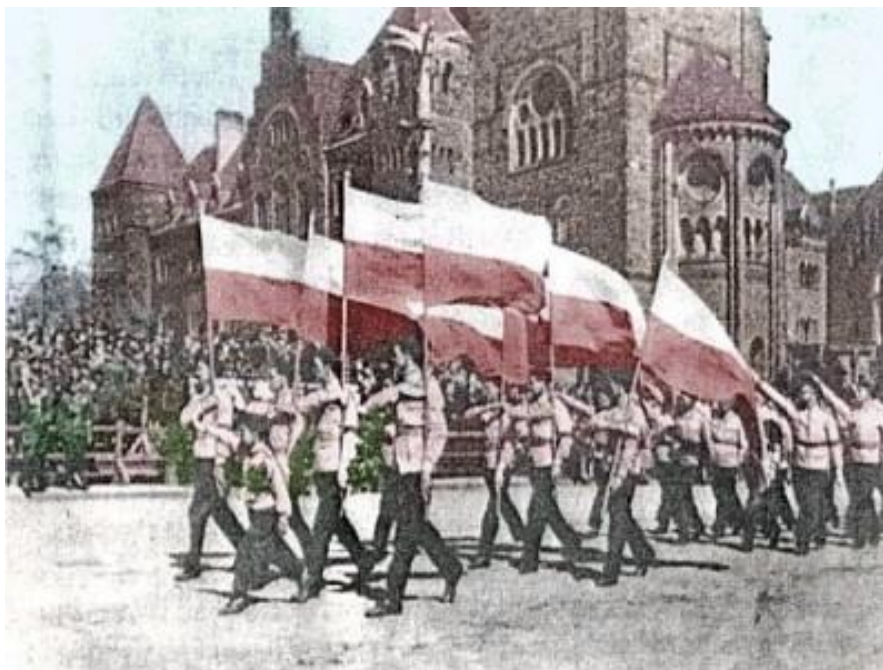
Ванда Викторовна Оршулевич

2) Zatrzymany otrzyma pieniądze poprzez oddział specjalny, za które będzie mógł zakupić w sklepie wewnętrznym towary pierwszej potrzeby, a także książki: kodeksy, konstytucję, literaturę piękną i naukową. Koniecznie należy podać nazwę więzienia i dane otrzymującego.

www.zonatelecom.ru/money-transfer/
www.fsin-money.ru/client/app/transfer/create

Wszyscy troje są osadzeni w: ФКУ СИЗО-1 УФСИН России по Калининградской области (236022, г. Калининград, ул. Ушакова 2–4)

Adrian Grudziński – „Zapomniany patriota Jan Korolec i jego działalność publicystyczna”



Urodził się 26 sierpnia 1902 roku w Połtawie na terenach dzisiejszej Ukrainy. Przez wiele lat służył narodowi polskiemu jako polityk i działacz ONR „ABC”. Publikował w pismach takich jak „Nowy Ład”, „ABC” (ostatni redaktor naczelny tego pisma) czy „Prosto z Mostu”. W okresie międzywojennym napisał broszurę programową „Ustrój polityczny narodu” (Warszawa, 1938). Zmarł 30 lipca 1941 w obozie koncentracyjnym Auschwitz.

Jest on postacią o której zachowało się niewiele informacji. Nieliczne dostępne fakty wskazują jednak na to, że był on osobą która aktywnie działała w imię Wielkiej Polski. Świadczy o tym jego działalność polityczno- narodowa oraz bogata publicystyka, gdzie największą pozycję redaktora naczelnego (zresztą ostatniego) zdobył w „ABC” (od 1935 „ABC – Nowiny Codzienne”- dziennik związany z polskim ruchem narodowym, wydawany w Warszawie w latach 1926–1939). Co ciekawe, był to bardzo perspektywiczny dziennik wielokrotnie cenzurowany przez władze. Sama gazeta reklamowała się jako „aktualna, bezpartyjna, ciekawa”, co było nawiązaniem do pierwszych liter tytułu. Od innych polskich pism odróżniała się formułą zaczerpniętą z prasy zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej. Zarządzanie nią nie należało do łatwych i wiązało się prawdopodobnie z wieloma nieprzyjemnościami dla jej członków, w tym samego Jana Korolca. Należy również wspomnieć, że gazeta była organem prasowym działającym tajnie Obozu Narodowo Radykalnego.

Jego ważnym osiągnięciem była praca wcześniej wspomniana: “Ustrój polityczny narodu”. Przedstawił w niej ważne jak na tamte czasy, mające również odzwierciedlenie w czasach dzisiejszych, problemy społeczne i wizje ulepszenia narodu przez jego doskonalenie.

Oto Jedne z ważniejszych Fragmentów Ustroju Politycznego Narodu;

Te same przepisy prawne, obowiązujące w różnych społeczeństwach, dają zupełnie inne skutki polityczne.

N. p. dawna nasza konstytucja marcowa była wzorowana na przepisach konstytucyjnych francuskich z okresu III-ej Republiki. Tymczasem w praktyce nasz ustrój polityczny zawsze był inny, niż we Francji. (Tu można wywnioskować że nawet ten sam ustrój polityczny w każdym państwie wygląda inaczej i może sprawdzać się dobrze w Rumunii a jednocześnie nie spełniać zamierzonej roli na Słowacji) Olbrzymi wpływ na ustrój polityczny wywierają stosunki gospodarcze. Te same przepisy prawne zupełnie inaczej wyglądają w ustroju gospodarczym, gdzie przemożny wpływ wywierają wielkie koncerty i wielkie banki. Obok bowiem ośrodków władzy, jakie posiada państwo, powstają ośrodki władzy faktycznej na skutek skupienia się w nielicznych rękach wielkich mas kapitału

Rozpatrzmy dzisiejsze ustroje polityczne, zarówno liberalne jak i dyktatorskie, zarówno monarchie jak i republiki. Nie można zupełnie zrozumieć, co się w nich dzieje, jeśli nie weźmie się pod uwagę wpływów, jakie wywierają na nie wielcy potentaci finansowi.

Weźmy choćby drobny przykład z naszej własnej polskiej rzeczywistości: Drobny podatnik, gdy zostanie złapany na oszustwie podatkowym — musi zapłacić grzywnę i nikt się nie martwi, skąd weźmie na to pieniędzy. Taki zaś Eljasz Mazur, właściciel wielkiej łuszczami ryżu w Gdyni, robi na niekorzyść skarbu wielomilionowe niedokładności w księgach i w rezultacie pozostaje bezkarny. A iluż takich Mazurow wywiera wpływ na działanie ustroju politycznego w różnych państwach. (Typowy świat Kapitalizmu, wielka nierówność społeczna ukazana na przykładzie wielkiego finansjera z Gdyni.)

Zachęcam do przeczytania całej pracy Jana Korolca, która ukazuje problemy występujące w okresie międzywojennym i występujące również w czasach nam współczesnych.

Jan Korolec poświęcił znaczną część życia działalności na rzecz narodu polskiego i jest jednym z ważniejszych działaczy narodowych okresu międzywojennego. Prawdopodobnie właśnie przez działalność narodową został więźniem obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie zmarł 30 lipca 1941 roku. My, jako Patrioci, powinniśmy zabiegać o pamięć osób, które wносиły wkład w działalność narodową oraz szerzyć ich przemyślenia, żeby czas nie stał ich z kart historii.

Adrian Grudziński

Karol Oknab – „Wola, wspólnota i suweren”



Rozważanie zagadnienia suwerenności władzy i państwa w epoce postmodernizmu może wydać się bezprzedmiotowe. Rozpłynięcie się struktur państwowych w organizacjach ponadpaństwowych, pojawienie się wielu podmiotów jak na przykład globalne koncerny lub organizacje terrorystyczne obejmujące swoją działalnością całą planetę czy też globalistyczne teorie dotyczące suwerennych miast¹, wskazują na pewno, że nie należy skupiać się nad klasycznymi problemami dotyczącymi teorii „suwerenności”. Dywagacje na temat suwerenności formalnej, materialnej, pozytywnej, negatywnej bądź czy jest ona niepodzielna, czy też podzielna, można zostawić historykom. Wydarzenia ostatnich kilkunastu miesięcy w Polsce pokazują jednak, że istnieje jakiś podmiot, który zachował cechy, które kwalifikują się jako „niezależne sprawowanie władzy zwierzchniej”.

Suwerenem w państwie nie jest monarcha, to już wiemy od czasów rewolucji. Suwerenem w państwie nie jest także lud. Zapisy w obecnie obowiązującej Konstytucji, mówiące, że władza zwierzchnia w państwie należy do Narodu, są pozbawione faktycznego znaczenia. Teoria suwerennego ludu, który sprawuje władzę w państwie przez swoich przedstawicieli, została zminimalizowana przez teoretyków pozytywizmu prawniczego na czele z Martinem Kriele, którego

poglądy podzielają dzisiejsi, najznamienitsi obrońcy Trybunału Konstytucyjnego. Suwerenne nie jest także samo prawo, rozumiane jako zamknięty, niewadliwy układ. Taki system, pozbawiony wspierającego go aparatu przemocy, pozostanie tylko w sferze abstrakcji.

Postmodernizm doprowadził do zanegowania podstawowych kategorii na których opierało się nowoczesne państwo. Idea suwerenności rozplynęła się w teoretycznych dywagacjach o republice ludzkości, która zakończy historię człowieka czy też sieciowej strukturze władzy. Niemniej instytucje państwowe i należące do nich zasoby nadal istnieją. Pewien podmiot może objąć nad nimi swoją pieczę i swoją zbiorową wolą wykreować sytuacje, które pozwolą przełamać mu współczesny, polityczny impas.

W mojej ocenie najwięcej cech suwerenności przedstawia zorganizowana grupa ludzi, którą można określić jako partię polityczną (organizację). Rozumiem ją jako osobowy substrat pewnej ideologii, która skupia wokół siebie konkretnych ludzi, nawet jeśli ich ideologią będzie tylko chęć zachowania władzy za wszelką cenę. Dyskusje o różnicach między partią liberalną, partią administrującą, partią władzy czy też partią antysystemową są poza zakresem zainteresowania tego tekstu.

Natomiast drugi człon nazwy, nie może być rozumiany w sposób zawężający, na przykład jako działalności parlamentarna, czysto koniunkturalna, wobec której zrozumiałe zniechęcenie, prowadzi do tego, że rozsądni ludzie twierdzą, że polityka ich nie interesuje, nie chcą robić polityki (mimo, że w oczywisty sposób właśnie to robią). W późnej nowoczesności obok stanowienia prawa w parlamencie czy też różnych międzypartyjnych konfliktów, polityczną aktywnością będzie także na przykład pobicie uczestników wrogiej demonstracji. A być może dla określonych środowisk, mających jakieś ambicje polityczne,

myślące nawet tylko potencjalnie o sprawowaniu władzy, taka aktywność polityczna, będzie jedyną możliwą i sensowną.

Najlepszym przykładem powyższego twierdzenia jest obecna partia rządząca. Choć nie jest to partia w żaden sposób „rewolucyjna”, z oczywistych sposobów odcinająca się od przemocy, to wykreowany parareligijny mit zamachu smoleńskiego, jest na tyle mobilizujący, za którym oczywiście kryje się także rządza łupów, że pozwolił jej na sukcesywny „podbój państwa”, który spotyka się z tylko z ograniczonym, słabym oporem.

Partia rządząca nie wykazuje większego zrozumienia dla obecnej, płynnej rzeczywistości, w której władza ma mieć charakter sieciowy, agonistyczny, deliberacyjny. Nie przejmuje się instytucjami międzynarodowymi, pokazując ich impotencję, nie oddaje religijnej czci konstytucjom i ustawom, tylko właśnie wyciągając słuszne wnioski ze obserwacji świata ponowoczesnego, a co za tym idzie, jest w stanie kreować nowe sytuacje.

Kiedy zanegowano istotę i sens istnienia państwa, społeczeństwa, kultury, na polu polityczności pozostała wola, która tylko czeka aby zostać zmanifestowana, przez tego kto będzie na tyle zdeterminowany, by się nią posłużyć. We współczesnym państwie, bardziej niż monarcha, lud, naród czy też prawo, suwerenem jest ta partia, która jest zdolna zmobilizować swoich członków i podbić państwo. Postmodernizm doprowadził do rozpadu podstawowych kategorii jakimi posługiwało się industrialne, mieszczańskie społeczeństwo. Posłużmy się przykładem uchodźców, aby ukazać nieadekwatność posługiwania się pojęciem „wspólnoty politycznej”; trudno mówić o istnieniu wspólnoty celów między zwolennikami niekontrolowanego napływu obcych przybyszów, marzących o „wielkiej wymianie”, która doprowadzi do zastąpienia dotychczasowych białych, słowiańskich etnosów, nowymi społecznościami metysów. Dzisiejsi zwolennicy „wielkiej wymiany” za kilka lat będą także

zaciekle agitować, aby do wspólnoty politycznej zostały włączone na przykład roboty, które z punktu materialistycznego, niczym nie będą różnić się do pierwotnych członków wspólnoty politycznej, czyli obywateli będących ludźmi. Zatem wspólnota polityczna, identyfikująca się zawsze w opozycji do otoczenia, staje się nagle rezerwuarem dla każdego i dla wszystkiego, pozbawionym substancji, a samo słowo nie posiada już sensownego znaczenia, oprócz wykorzystywania go do walki politycznej.

W postmodernistycznym państwie nie istnieje pojęcie dobra wspólnego. Demokratyczny pluralizm doprowadził do erozji tego tradycyjnego pojęcia. Choć istnieje nadal pozór jednej wspólnoty obywateli uprawnionych do głosowania w wyborach powszechnych, to stopień polaryzacji postaw, światopoglądów, każe spoglądać na współczesnych Polaków jako ludzi może jeszcze posługujących się wspólnym językiem, ale nie tworzących narodu w klasycznym, modernistycznym tego słowa znaczeniu. Jest to moim zdaniem fundamentalna uwaga, której sens zawiera się w przekonaniu o konieczności oderwania się od tradycyjnych, zdezaktualizowanych pojęć, których korzenie tkwią jeszcze w modernizmie. Takie pojęcia jak dialog, wspólnota, społeczeństwo, legitymacja, państwo, suwerenność ludu, narodowa demokracja utraciły swoje znaczenie. Zatem powyższe pojęcia pochodzące z innej epoki, powinny przestać być najważniejszym punktem odniesienia. W ich miejsce cenione stają się: woluntaryzm, aktywizm, „odwaga władzy”, zdolność do kreowania nowych sytuacji.

Tak więc uświadamiając sobie te okoliczności, dominujący dziś narodowi demokraci czerpiący z dziewiętnastowiecznych i dwudziestowiecznych koncepcji, powinni ustąpić już miejsca.

Karol Oknab

. Na przykład „Gdyby burmistrze rządili światem” Benjamina Barbera, doradcy prezydenta Clintona, reprezentującego międzynarodową oligarchię.

Sebastian Stelmach – „Prezes jest obrońcą prawa”



W ostatnich dniach mamy do czynienia z ekscesami pod budynkiem parlamentu, urządzanymi przez tzw. opozycję totalną. Tak zwana opozycja totalna to zbiór skompromitowanych partii parlamentarnych związanych z „biznesem” i bankami, ich sojusznicy i przybudówki – KOD, Obywatele PRL. Owi polityczni szubrawcy uważają, że łamana jest praworządność i podstawowe zasady państwa prawa. Protestują przeciwko reformie Krajowej Rady Sądownictwa, ustrojowi Sądów Powszechnych oraz rządowi PiS-u. Nie muszę pisać, czym było przez ostatnie 8 lat dla tych środowisk pojęcie państwa prawa, bo czytelnik doskonale wie, że „demokratyczne państwo prawne” - tak, tak - nawet w Konstytucji owe błędne tłumaczenie z j. niemieckiego „demokratische Rechtsstaat” zostało umieszczone!

- w rozumieniu obrońców owego „państwa prawa” to możliwość robienia przekrętów na wszystkim co ruchome i nieruchome oraz prześladowanie grup społecznych i podsłuchiwanie dziennikarzy krytycznych wobec tych środowisk.

Chciałbym się skupić jednak w tym artykule tylko na wyżej wspomnianych reformach w kontekście właśnie prawidłowo pojmowanej praworządności i zasady państwa prawa.

Złamanie „Konstytucji”.

Wygaszenie immunitetów sędziom Sądu Najwyższego i przeniesienie ich w stan spoczynku prawdopodobnie jest literalnie niezgodne z zasadami obowiązującej ustawy zasadniczej. Jednakże nie uważam, by było w tym coś nagannego, czy tym bardziej niepraworządnego. Liberalna Konstytucja, uchwalona szemraną większością przez środowiska polityczne, które zostały niedawno odsunięte od władzy w państwie, a wobec których z każdym tygodniem można by wytoczyć nowy proces karny związany ze sprawowaniem przez nich wówczas władzy, nie jest jakimś absolutem, z którym obecni odpowiedzialni za Państwo powinni się w jakikolwiek sposób liczyć. Szyderstwem wręcz z zasad praworządności jest powoływanie się na narzucony Polakom projekt Konstytucji Unii Wolności, Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Zawarte w niej zasady państwa liberalnego, a zgodne z nią w pełni zasady prymatu prawa unijnego nad prawem krajowym, furki w przepisach umożliwiające drenaż kapitału przez międzynarodowe korporacje czy świadomie wprowadzona możliwość omijania prawa pracy przez zagraniczne korporacje to dorobek III RP, który nic wspólnego z praworządnością nie ma. Jest jej zaprzeczeniem i kpiną z suwerena, jakim jest Naród. Idąc dalej, można owe akty prawne uznać za legislacyjne bezprawie, ponieważ są rażąco niesprawiedliwe wobec Narodu, a niejednokrotnie uniemożliwiają zdrowej tkance społecznej rozwój i egzystencję. I mimo że pozornie są legalne, to piękne i klarowne pojęcia

są jedynie przykrywką szwindlu. Jak pisał Carl Schmitt w jednym ze swoich tekstów: „Nie wolno nam trzymać się prawniczych pojęć, argumentów i przesądów, które zrodziła stara i chora epoka”. Ciężko zatem nazwać konstytucją czy ustawą akt prawny będący zalegalizowaniem szabru czy wyzysku. Zatem wadliwe, niesłużące Narodowi prawo należy derogować, nawet z pozornym naruszeniem innych norm. obrońców starego i chorego porządku należy nazwać wprost szubrawcami czy złodziejami, a nie obrońcami praworządności. Niemniej same fakty potwierdzają, że moralność i prawość tych ludzi pochodzi z rynsztoka. Znajdziemy wśród nich zarówno zabójców księdza Popiełuszki, zatwardziałego alimenciarza czy, jak się ostatnio okazało, stręczyciela i handlarza żywym towarem. Zdrowa epoka, a tym bardziej Dobra Zmiana, nie powinna mieć dla takich person żadnych względności, a tym bardziej brać na poważnie ich protestów i Ruchu. To, co chore w życiu publicznym, powinno zostać z niego raz na zawsze usunięte.

Przywódtwo jako samoistne prawo w działaniu

Znów posłużę się nieocenionym, aczkolwiek nieco zapomnianym dorobkiem niemieckiego politologa i prawnika - konstytucjonalisty Carla Schmitta. W zasadzie ten człowiek mógłby zastąpić w polskich podręcznikach wszechobecnego Maxa Webbera, ponieważ myśl Schmitta jest pełniejsza i pozbawiona liberalnego frazesu w swoich poglądach na funkcjonowanie państwa i systemu prawnego. W rozumieniu pojmowania prawa przez wspomnianych wcześniej liberałów traktują oni konstytucję i prawo karne jako „Wielką Kartę Zdrady”, a zasady prawa stanowionego przez III RP jako długi list żelazny mający umożliwiać im egzystencję w polskiej polityce i przekręty.

Tymczasem zgodnie z przyjętymi zasadami demokracji wybory zdecydowanie wygrało Prawo i Sprawiedliwość i ma pełne prawo do zaprowadzania swoich porządków w państwie. Na Partii i Rządzie spoczywa obowiązek przeforsowania

swoich treści programowych we wszystkich publicznych instytucjach, a przede wszystkim we władzy sądowniczej, z uwagi na podstawowy obowiązek władzy, czyli ochrony Narodu przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Można by nawet napisać, również za Schmittem, że z przywództwa wypływa sędziowanie nad tym, co dla Narodu pożądane, a co nie. Tym zatem bardziej ciąży na szefie państwa obowiązek rozprawienia się z politycznymi insektami, pasożytami, które toczyły przez ostatnie ćwierćwiecze nasz Naród. Poprzez „rozprawienie się” mam na myśli usunięcie okrągłostołowej patologii z życia publicznego, uzdrowienie finansów publicznych poprzez mądrą politykę socjalną, wytoczenie procesów aferzystom czy zniszczenie wszelkimi sposobami obcych, czy należących do peerelowskiej czy michnikowej nomenklatury mediów i organizacji pozarządowych, finansowanych z zagranicy. Do takiego sędziowania uprawnia Partię przede wszystkim wygrana w wyborach na jesieni 2015 roku i skoro jest to postępowanie zgodne z wolą narodu, to mieści się to jak najbardziej w pojęciu praworządności, które nie może się ograniczać jedynie do literalnego zapisu normy prawnej. „Wszelkie prawo wywodzi się z prawa do życia narodu” pisał Schmitt i to powinno być uznawane za nadrzędną normę, nawet wobec tzw. Konstytucji z 1997 r.

Zatem można śmiało napisać, że w kontekście obecnie dokonywanych zmian w Polsce Prezes jest obrońcą prawa.

Sebastian Stelmach

Patryk Łukasz – „Czy Polak może być konserwatystą?”



Konserwatyzm ze względu na swoje potoczne znaczenie oraz konotacje polityczne i historycznej jest pojęciem niełatwym do bezpośredniego zdefiniowania. Chcąc pochylić się nad tym terminem, musimy najpierw dokonać jego demitologizacji. Czym zatem jest konserwatyzm? Czy jest to ideologia współczesnej mieszczańskiej prawicy? A może to raczej jest esencja tak zwanego reakcjonizmu, który bronił upadających monarchii w XIX wieku? Jeszcze innym ta idea będzie się kojarzyć z epigonami klasycznego liberalizmu spod znaku Janusza Korwin-Mikke. Problem identyfikacji konserwatyizmu z tym albo innym środowiskiem jest bardziej złożony. Niemniej jeśli ktoś kojarzy konserwatyzm tylko z jednym z owych środowisk, to tkwi w błędzie. Konserwatyzm został w powyższych przypadkach wykorzystany jedynie jako komponent ideologiczny bądź został przywłaszczony jako pusty katalog pojęć na potrzeby politycznej gry. Nie miejsce tutaj na polemikę opierającą się na cytatach sprzed 200 lat. Tylko jeśli przyjmimy najbardziej ogólną i jednocześnie treściwą charakterystykę tego nurtu będziemy dopiero mogli obiektywnie spojrzeć na konserwatyzm z perspektywy nacjonalisty.

Niewątpliwą płaszczyzną porozumienia obu obozów pozostanie szacunek i ochrona tradycyjnych wartości. Konserwatyści jednak budują na tym fundamencie etykę organicznych wspólnot, która w optyce narodowych interesów może budzić podejrzenia. Jednym z głównych źródeł tego poglądu jest spisany przez św. Tomasza z Akwinu „genetyczny porządek społeczności”. Wśród polskich nacjonalistów ta hierarchia jest bardziej znana jako wspomniany wiele razy przez ks. Kneblewskiego porządek miłości (ordo caritatis). Niemniej przecież i dla większości nacjonalistów lokalne tradycje posiadają dużą wartość jako przejaw życia narodowego. Skąd zatem ta pozorna różnica? Dla polskich

nacjonalistów regionalizm będzie już zawsze podświadomie kojarzył się z rozbiem dzielnicowym i szlacheckim partykularyzmem. Natomiast dla konserwatystów regionalizm pełni rolę symbolu ostatniego bastionu oporu przed totalną biurokracją, ateizacją i protestanckim kapitalizmem. Oczywiście konserwatyści w większości nie wynoszą regionu ponad państwo. Wspomniany Akwinita, który niewątpliwie stanowi autorytet doktrynalny, uważał państwo za gwarancję porządku społecznego. Widzimy że nieporozumienia w tej kwestii wynikają raczej z rozłożenia akcentów w dyskursie. Rzadziej natomiast owe spory mają swoje źródło w fundamentach ideologicznych. Zupełny poziom abstrakcji ten problem nabiera w unitarnej Polsce, gdzie pobudzanie propaństwowego regionalizmu w duchu tradycyjnych wartości jest jak najbardziej wskazane.

Pochodną tych rozbieżności jest problem definiowania narodu. Konserwatyzm jest tu niesłusznie postrzegany jako ruch potencjalnie internacjonalistyczny. Nacjonalizm natomiast widziany z perspektywy konserwatyizmu jest często traktowany jako zatracony w szkodliwym szowinizmie. Również i w tym przypadku obie perspektywy są uwarunkowane przez tradycje polityczne. Oczywiście istnieją szersze przesłanki dla rozróżnienia obu wizji. Omówienie ich to zdecydowanie materiał na osobne opracowanie. Warto jednak zwrócić uwagę na pewne wspólne aspekty. Najbardziej autorytarne wizje monarchii katolickiej zawsze ostatecznie pozostają służbą dla obywateli. Chociaż monarchizm pozostaje ważnym elementem tożsamości ideologicznej konserwatyizmu, to ustrój państwowy jest niejako dla konserwatystów drugorzędny względem konieczności realizowania przez państwo funkcji kluczowych dla uchowania podstawowych wartości. Główną osią sporu jest pogląd na państwo narodowe. Niemniej nieodłączną częścią konserwatyizmu jest szacunek dla prawa zwyczajowego, które często stanowi integralną część kultury narodowej. Moim zdaniem pewną kłamrą między doktryną nacjonalizmu i konserwatyizmu może być pogląd o rozwoju pojęcia narodu. W procesie ewolucji stosunków społecznych doszło do krystalizacji właściwie pojęcia tożsamości, która wcześniej było hamowana przez ograniczone zdolności komunikacji społecznej. W historii jednak nie brak przykładów, gdzie tożsamość narodu odcisnęła wyraźne piętno w czynnikach państwowotwórczych. Jak słusznie zauważył Hegel spór o pierwszeństwo suwerenności władzy i suwerenności narodu jest pozorny. Nie ma władzy bez pewnego przyzwolenia poddanych jak i żaden naród nie może funkcjonować w anarchii. Stosunek władzy jest nierozłączny i na tym polu spór o ważność jest raczej zarzewiem sił wywrotowych albo tyranii. Władza służy narodowi, a naród słucha władzy. Na marginesie dywagacji ideologicznych to zdrowy rozsądek, który jest wpisany w oba światopoglądy, stawia raczej na praktykę polityczną kierowaną przez wyselekcjonowaną pod kątem moralnym kadrę i w tym kontekście pewne różnice światopoglądowe stają się wtórne względem państwowej motoryki.

Głównym zarzutem wobec konserwatyizmu pozostaje jego rzekomy ugodowy charakter względem zastanej władzy, który ma wynikać z braku idealizmu, braku ducha itp. Jest to zasadniczo uogólniające stwierdzenie, gdyż konserwatyizm nie neguje potrzeby dostosowywania państwa do życia narodu. Owe podejście nie wynika także z braku idealizmu, ale jest raczej jego wyrazem. W centrum konserwatywnej symboliki społecznej znajduje się m.in. drzewo albo krzew, które to są metaforą jednego wielkiego organizmu. Zmianom w naturalnej strukturze obcą jest rewolucyjna żywiołowość, która doprowadza do arbitralnych reform sprzecznych z możliwościami społeczeństwa. Nie oznacza to oczywiście, że reformy nie powinny niczego wymagać od poddanych. Konsekwencją takiego myślenia jak i szacunku dla tradycyjnych wartości jest niewykluczająca twórczego działania pokora wobec stworzenia. Dobrze oddaje ją cytat Stanisława Brzozowskiego, który pisząc to powoli już skłaniał się ku wierze katolickiej i nacjonalizmowi: „Ponieważ jesteśmy winni, nieskończenie winni wobec ludu, nie mamy prawa sądzić go surowo i zrażać się tem wszystkim, co jest wynikiem jego nieszczęśliwego położenia, z którego my mniej lub więcej korzystaliśmy. Nie mamy prawa wątpić o nim, wierzyć powinniśmy w jego piękno, nie mamy prawa przypuszczać, że nie odpowiada on naszym wzniosłym marzeniom. Forma zewnętrzna jest wstrętna, straszna, odrażająca, ale na tem właśnie polegać powinno bohaterstwo naszej odkupiającej wiekowej winy miłości, abyśmy, pomimo tej formy i wbrew niej, dochowali wiary wielkiej przyszłości” Sama konserwatywna ewolucyjna metoda rozwoju narodu nie wyklucza także siłowego przewrotu wobec władzy, która staje się tyranją albo narusza boskie prawa (warto podkreślić, że jest to normą w obecnym świecie). Wyrazem tego w historii może być chociażby prawo oporu. Istnieje nadal także instytucja odwołania nawet papieża, gdyby ten naruszył fundamenty Wiary katolickiej.

Podsumowując idee nacjonalizmu i konserwatyizmu w swojej istocie posiadają wiele wspólnych mianowników, które dopiero na gruncie dalszego wnioskowania w oparciu o różne perspektywy historyczne dochodzą czasem do rozbieżnych wniosków. Oba nurty można by zobrazować jako dwie koliste płaszczyzny z częścią wspólną pośrodku. Konserwatyzm dążący do „wewnątrz”, do strefy elementarnej, która doprowadza do odnowy narodu poprzez wydobywanie idei z tego co zastaliśmy. Nacjonalizm stanowi płaszczyznę ciężącą na „zewnątrz”, która okala i nachodzi na konserwatyizm (wspólne mianowniki). Odnowa społeczeństwa jest w tym wypadku wynikiem rywalizacji narodów i twórczego czynu. Wektory o sprzecznym zwrocie tworzą dialektyczną jedność przeciwieństw, która ukazuje się nam jako siła motoryczna życia niezbędna dla funkcjonowania narodu. Oba nurty są oczywiście narażone na wypaczenia. Bez wątpienia patologiczną odmianą nacjonalizmu jest bezrefleksyjny szowinizm, który zawsze był krytykowany przez polskich nacjonalistów. Analogiczną patologią konserwatyizmu jest ślepa obrona tego co jest albo było. Wytrącenie wektora czynu skutkuje dla konserwatyizmu groźbą „zastygnięcia” idei oraz

społeczeństwa, które ulega anomii. Natomiast gdy nacjonalizm zostanie pozbawiony wektora wartości stałych może „wylać się” ze swojej egzystencjalnej formy i następnie pogrążyć w niszczyielskim dla narodu ślepym politycznym nihilizmie. Śmiało można stwierdzić, że oba kierunki, o ile funkcjonują na gruncie wspomnianych sił, stanowią spójne integralne ideologiczne, które jednocześnie pozostawia sobie otwartą drogę dla ewolucji doktrynalnej, która będzie musiała sprostać wyzwaniom przyszłości naszego narodu.

Patryk Łukasz